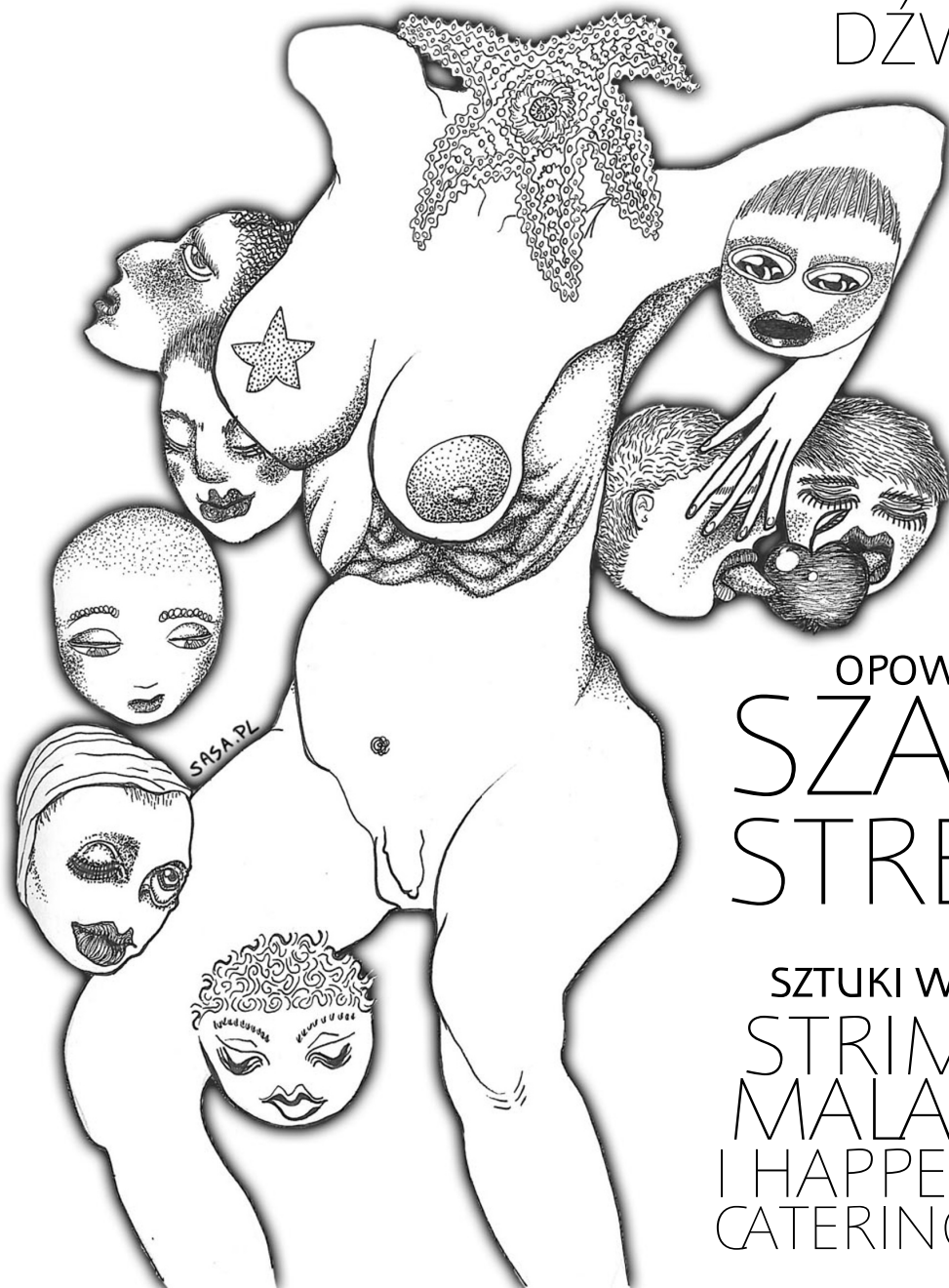


SPLIT NIESKONCZONOŚCI 02

bydgoski dwumiesięcznik kulturalny • ISSN 2543-487X • rok II • nr 2 • marzec-kwiecień 2017

NAUKA
UZDRAWIAJĄCE
DŹWIĘKI



OPOWIADANIE
SZARA
STREFA

SZTUKI WIZUALNE
STRIMING
MALARSKI
I HAPPENING
CATERINGOWY

Maksymilian Gwinciński

Wstępniak

Bagatelizacja nauk humanistycznych, sztuki oraz wszelkich innych dziedzin ludzkiej kultury, które na pierwszy rzut oka wydają się „niepraktyczne”, jest w naszej rzeczywistości chlebem powszednim od kilkudziesięciu lat. Inżynierowie, bankierzy czy nawet zwykli rzemieślnicy są przez ogół społeczeństwa stawiani wyżej od artystów, publicystów etc. Pierwszym argumentem są możliwości finansowe danego zawodu, natomiast drugim umiejętności praktyczne, które pozwalają na zmiany w rzeczywistości widoczne gołym okiem. Dla zwykłego zjadacza chleba stolarz zawsze będzie bardziej wartościowy niż poeta.

Jest w tym wszystkim pewien paradoks. Jeśli spojrzymy na cywilizację z pewnej perspektywy, to zobaczymy, że cały rozwój technologiczny, ciepło w kaloryferach czy lodówki pełne jedzenia są po prostu bardziej wysublimowanymi formami zaspokajania zwierzęcych potrzeb. Narracja globalnego społeczeństwa wmawia wszystkim naokoło że właśnie takie rzeczy są wielkimi osiągnięciami ludzkości. Jest w tym ziarno prawdy, ale to tylko mała część naszej egzystencji. Prawdziwie ludzkim osiągnięciem jest ciągłość kultury. Dbanie o nią, przekazywanie jej z pokolenia na pokolenie, wskazywanie jej ślepych zaułków oraz wskazywanie dróg codzienności.

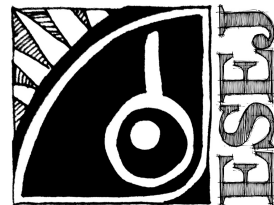
To jest właśnie rola humanistów. Językoznawcy, muzycy czy dziennikarze – wszyscy ci ludzie są skrybami i kapłanami kultury. To właśnie oni ułatwiają komunikację, budują symboliki, które stwarzają sens życia dla wielu i tylko dzięki nim ludzie są w stanie przetrwać najgorsze momenty. Właśnie dlatego powstaje „Splot Nieskończoności”. Jako płaszczyzna do szerzenia tego, co ludzkie, w uduchowionym społeczeństwie zwierząt. Każde kolejne wydanie wychodzi nam lepiej lub nie najlepiej, ale wychodzi i jednego jesteśmy pewni – dzięki wam nie poddamy się nigdy.

Spis treści

ESEJ	3
Odłóż tę książkę i zagraj w jakąś grę	
WYWIAD	5
Michał Supczyński	
OPOWIADANIE	7
Szkic	
SZTUKI WIZUALNE	9
Striming malarski i happening cateringowy	
NAUKA	15
Uzdrowiające dźwięki	
OPOWIADANIE	18
Szara Strefa	
MUZYKA	20
Intymne życie trupawzsybie	
FELIETON	22
Niemożliwe, a jednak wychodzi z siebie	
FILM	24
Sens życia według Ricka i Morty'ego	
POEZJA	28
SPACER PO BYDGOSZCZY	29
Antykwariat Szperalnia	
KULTURALNIE W BYDGOSZCZY	30
NOWOŚCI PLEXUSA	32

Paweł Szala

Odlóż tę książkę i zagraj w jakąś grę



Zaproszony przez Maksymiliana do stałej współpracy ze „Splotem”, długo zastanawiałem się, w jaki sposób wykorzystać dwie strony periodyku, aby nikt nie poczuł, że zostały one zmarnowane. Po odrzuceniu całej masy pomysłów, zdecydowałem skazać czytelnika na siebie. Nie ukrywam, że chciałbym nadać tekstom trochę luźniejszego charakteru, dlatego opowiem w kilku słowach o moich wnioskach wynikających z obserwacji jednego z nowych mediów – gier komputerowych. To by było na tyle tej metaliterackości.

Któregoś dnia, również zachęcony przez Maksymiliana, mniej lub bardziej legalnie włączyłem wydaną w 2001 roku grę *Arcanum: Przypowieść o Maszynach i Magii*. Nie trzeba być w temacie, aby domyślić się, że produkcja opiera się o świat fantasy. Aczym jest pierwotnie fantasy, jeśli nie gatunkiem literackim? Studia polonistyczne nie pozwoliły mi przejść obok tego obojętnie, dlatego zacząłem zastanawiać się, w jakim stopniu gra komputerowa czerpie inspirację z literatury i innych mediów, oraz czy w jakichś przejawach jest do nich podobna?

Arcanum to gra z gatunku cRPG, czyli komputerowa gra fabularna, w której wybieramy lub tworzymy awatara, czyli postać z jaką chcemy się utożsamiać, po czym realizujemy jego rolę i staramy się osiągnąć postawiony sobie cel¹. Świat gry opiera się na dwóch siłach – technologii i magii, które są sobie przeciwstawne i nie mogą istnieć razem, gdyż negatywnie na siebie oddziałują. Sami decydujemy o ścieżce naszego bohatera w trakcie rozgrywki. Główny wątek fabularny do oryginalnych nie należy – nasz bohater, jako jedyny, cudem ocalał w katastrofie lotniczej sterowca, przez co jest uznawany za wcielenie elfiego boga i musi rozwiązać problemy całego świata. Jednym słowem bajka.

Aby jakakolwiek gra mogła się toczyć, potrzebne jest zaangażowanie gracza w jej przebieg². W przypadku *Arcanum* ważnym elementem jest skupienie się na czytaniu tego, co dany NPC (bohater niezależny, z gry) ma nam do przekazania i wybraniu jednej z kilku możliwych odpowiedzi, co determinuje dalszy przebieg rozgrywki, kształtuje charakter naszej postaci i jej odbiór przez członków wirtualnego świata. Czytanie ze zrozumieniem i skupienie się na doko-

nywaniu takich, a nie innych wyborów, współtworzy fabułę i jest kluczowe w odniesieniu sukcesu. Narracja jest „konstruowana dzięki interakcji między graczem a interfejsem gry”³. W dziele literackim czytelnik może utożsamiać się z narratorem, lecz jego zasięg oddziaływania na dzieło jest ograniczony – narracja kończy się tam, gdzie autor postawił ostatnią kropkę.

Nikt nie będzie się kłócił, że *Arcanum* zostało zainspirowane literaturą, a szczególnie tak popularnym Tolkienem, bez którego nie byłoby krasnoludów, elfów, niziołków czy orków. W produkcji widoczne są również elementy steampunku czerpiącego z fantastyki Verne’a i Welscha. Inspiracje działają również w drugą stronę. Na rynku pojawiło się kilkanaście książek osadzonych w świecie gry *Diablo Assassin’s Creed*, a dzięki tej drugiej nakręcono film. Pomijam jednak wartość literacką i filmową tych utworów...



Wracając do samej gry komputerowej. Gracz jest nie tylko współtwórcą historii stającej się w grze, ale również obserwatorem odbierającym sygnały audiowizualne. Do rozgrywki wprowadza nas krótki film, pokazujący lecący sterowiec, atakowany przez dwóch ogarów. Ostatnie ujęcia skonstruowano z perspektywy pierwszej osoby – gracz widzi szczątki rozbitej maszyny i słucha monologu umierającego gнома, który prosi go o dostarczenie pierścienia Chłopców. Kluczowy jest ostatni zwrot („It’s all up to you”), który podkreśla, że to w jaki sposób sytuacja fabularna się rozwinie, zależy od gracza. Każde działanie wykonane w grze ma swoje odbicie na ekranie, daje efekt wizualny i dźwiękowy, a tym samym



Odłóż tę książkę i zagraj w jakąś grę



sprawia wrażenie filmowości. Doskonale wiem, że gra wideo może dostarczać wrażeń nie tylko osobie grającej, lecz również tej obserwującej. Z tego miejsca pozdrawiam mojego młodszego brata, który często zamiast samemu grać w *Diablo*, towarzyszył mi jako obserwator. Dzisiaj nie musisz mieć rodzeństwa, aby oglądać rozgrywki. Wystarczy, że włączysz Youtube lub Twitch, a przy piwie i chipsach prześledzisz rozgrywkę w *League of Legends* czy innego *Counter-Strike'a*. W południowokoreańskiej telewizji obejrzysz „mecze” *StarCrafta* na żywo. Zresztą, aktualnie obserwujemy rozwój e-sportu, a wejściówki na eventy rozchodzą się błyskawicznie. Dlatego śmiało twierdzę, że większość gier wideo można odbierać po części jako medium filmowe, czyli takie, które filmem nie jest, ale ma charakter jak najbardziej audio-wizualny.

Muzyka w Arcanum odgrywa rolę podobną do muzyki w filmie. Przede wszystkim buduje napięcie, przez co wpływa na emocje odbiorcy. W grze jest to na tyle ciekawe, że odpowiednia muzyka w konkretnym czasie i miejscu może zestresować gracza. Pewnie dzieje się tak dlatego, że przed jego oczami dzieje się historia kogoś, z kim się utożsamia i czuje silną więź. W literaturze taka relacja czytelnik-narrator albo czytelnik-bohater jest niemożliwa z powodu z góry zapisanej i określonej akcji wydarzeń. Podobnie rzecz ma się z filmem – tylko w grze mamy poczucie, że to my kierujemy losami bohatera.

Rozgrywka może również wypełnić nienasyconie, które pozostało po kontakcie z innymi mediami. Świetnym przykładem jest wydana w 2007 roku gra MMORPG (takie RPG, tylko przez internet) *The Lord of the Rings Online*, która została obsadzona w Tolkienowskim Śródziemiu. Niezwykłość tej produkcji polega na prawie idealnym odzwierciedleniu świata, który znamy z książki i filmów. W grze znajduje się pominięty w pierwszej części filmowej trylogii wątek związany z Tomem Bombadilem, a lokalizacje takie jak Hobbiton czy Wichrowy Czub odpowiadają filmowym wyobrażeniom. Tego typu gra daje fanom twórczości Tolkiena możliwość ciągłego przeżywania tego, co przeczytali w książkach i obejrzeli w filmach, a co zapewne znajdą na pamięć.

Dobra gra wideo, wykorzystując media takie jak literatura, film czy muzyka, może stać się genialnym dopełnieniem tego, co już znamy. Mnogość wrażeń, jakie rozgrywka może przekazywać, stawia gry obok innych mediów. Celowo nie napisałem o najnow-



screenshot: terra-arcenum.com

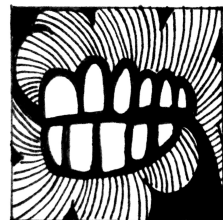
szej generacji gier, tj. virtual reality, ponieważ się na tym nie znam i nie miałem z tym styczności. W ogóle nie jestem zapalonym graczem. Jednak zdałem sobie sprawę, że naprawdę dobra produkcja jest niekiedy lepsza niż książka czy film. Dlatego przed kolejnym lajkami dla fanpage'a NIE CZYTASZ? NIE IDĘ Z TOBĄ DO ŁÓŻKA lub sięgnięciem po słabą książkę lepiej zagraj w dobrą grę.

PRZYPISY

- 1 J.-H. Pih Zagadnienia narratologiczne w grach komputerowych, [w:] Pograniczna audiowizualności, pod red. Andrzeja Gwoźdźdza, Kraków 2010, s. 452.
- 2 M. Hopfinger, Ewolucja gier i kultura uczestnictwa, [w:] tejsze, Literatura i media po 1989 roku, Warszawa 2010, s. 256.
- 3 J.-H. Pih, dz. cyt., s. 453.

"Każde działanie promujące muzykę ma sens".

wywiad z Michałem Supczyńskim



WYWIAD

Adam Kempa: Próbowałem sporządzić krótką notkę o Tobie do wywiadu i od razu pojawił się drobny problem, który postanowiłem przerodzić w pytanie. Michale, na polu kultury działasz aktywnie na wielu frontach, a to muzyk, a to wydawca, a to organizator. Kim czujesz się przede wszystkim, które „funkcje” wymieniałbyś w pierwszej kolejności?

Michał Supczyński: Wiesz, wydaje mi się, że są to naczynia połączone i każda z tych funkcji składa się na to kim aktualnie jestem. Nie czuję, żeby któraś z nich była w jakiś sposób ważniejsza. Od kilku lat pracuję również z dziećmi jako animator i czuję, że ma to równoznaczny wpływ na to co robię w sferze muzycznej. Problem więc pozostaje, będziesz go musiał jakoś rozwiązać...

Możemy też zdecydować wspólnymi siłami, że istnieją wyłącznie pozytywne strony bycia multi-funkcyjnym. A może wśród Twoich aktywności jest taka, która jest z Tobą najdłużej, bądź taka, o której myślisz, że nigdy Ci „nie przejdzie”?

Raczej z niecierpliwością wyczekuję pojawienia się nowych zabawek, zabierających mi czas, którego i tak jest coraz mniej. A tak na serio to jednak muzyka. W sensie - samo granie i tworzenie. Instrumentalistą wybitnym to ja nie jestem, ale to przynosi mi największą satysfakcję, jakoś tak serce telepie mocniej. Napewno mocniej niż gdy robię, powiedzmy, plakat. I od tego się to wszystko zaczęło, jakby nie patrzeć.

W takim razie z jakiego rodzaju potrzeby powstało Twoje wydawnictwo „Złe Litery”, w którym wydajesz kasety? Czy był to jeden z takich spontanicznych pomysłów, który Cię zapalił do stworzenia czegoś większego?

Nie wiem czy większego. To nadal jest małe i raczkujące. Na poważne wydawnictwo trzeba pieniędzy, a tutaj wszystko rozgrywa się DIY i często więcej jest siedzenia po nocach niż tego działania profitów. Pierwsza potrzeba wzięła się stąd, nie będę tu oryginalny, żeby promować projekty moje i moich przyjaciół, żeby nadać im wspólny, lokalny mianownik. Potem okazało się, że parę zaprzyjaźnionych składów też chce w tym uczestniczyć i nie przeszkadza im

to, że nakład to np. dwadzieścia sztuk. I z tego się cięszę – że poznałem nowych ludzi i mogę się z czymś zmierzać. Choć marzenia, wiadomo, żeby trzaskać winyle w designerskich opakowaniach, się pojawiają.

A dlaczego kasety? Ten nośnik jest w jakiś sposób dla Ciebie szczególny?

Tak, bo jest klasyczny, a jednocześnie trochę zabawny. Bo trzeba się wysilić żeby zmienić stronę bez autorewersa, a dźwięk na nich jest inny, cieplejszy, czuć gęstą atmosferę. Jest więcej fizycznego obcowania z tym nośnikiem, choć jakościowo nie jest to wypas, a taśma się ściere. Ale jest mi bliska estetyka błędu, lubię niedoskonałości. Na pewno bardziej niż słabe CD-Rki czy idea wydawania muzyki na kartach SD.

Jaka będzie przyszłość Złych Liter? Czy nadchodzą jakieś wydawnictwa?

Aktualnie przerwa. Muszę sobie poradzić z promocją i zastanowić się nad przyszłością. Może nawet zdarzy się tak, że w tej formie „Złe Litery” niedługo przestaną istnieć, ze względu na nawet obowiązków. A jeśli będą, to będziemy proponować dwa, maksymalnie trzy wydawnictwa rocznie.

A jak zapatrujesz się na działalność dzisiejszych DIY labelów? Konkurencja czy przyjaciele? I czy mają sens?

Każde działanie oddolne promujące muzykę ma sens, nie ma na to innej odpowiedzi. I dalej również polecę sztamponowo - im więcej tym lepiej i niech będzie ich jeszcze więcej. Ci, których znam, to przyjaciele, którzy mają zresztą podobnie jak ja - często w międzyczasie są muzykami i organizatorami koncertów. Jeśli choć jakaś część owoców ich pracy odbija się echem, to doskonale. Takie labelle jak Magia, Pawlacz Perski czy Pointless Geometry są małe, ale wydaje mi się, że mają coraz większy wpływ na kształtowanie muzycznej rzeczywistości, nie sądzisz?

Z jednej strony podzielam Twoją opinię w zupełności, gdyż traktuję siebie jako odbiorcę sztuki i mogę z ulgą zauważyć, że wiele dobrego na polskim rynku się dzieje. Z drugiej strony nietrudno dostrzec, że wiele wydawnictw się pojawia i krótko





wywiad z Michałem Supczyńskim

później znika. Jakich powodów się doszukiwać - pieniędzy? Wypalenia?

Taki już nasz muzyczny ekosystem. Nie wszystko musi być, trwać wiecznie, żeby wywierać określony wpływ na środowisko, to trochę mania wielkości. Ja bym powiedział, że większość dobrego to właśnie niestare, solidne marki, tylko pojawiające się i znikające świetliki, szybkie komentarze do naszych czasów. Dzisiaj nawet pół roku to już dużo. Ważne, że zauważamy raczej ciągłość, jedne gasną, a powstają kolejne. Nic złego się nie dzieje.

A zastanawiasz się czasem w jaki sposób branża muzyczna się zmieni w kontekście kilku nadchodzących lat?

Nie, nie zastanawiam się nad tym.

To zadam Ci konkretniejsze pytanie, żeby Ci zmusić do odpowiedzi. Myślisz że analogowym nośnikom grozi wymarcie? Prawdę mówiąc CDki też wliczam do grupy "analogowych", choć pewnie podręcznikowo niepoprawny to zabieg. W każdym razie - czy muzyce grozi całkowita przeprowadzka do Internetu? To dobrze czy źle?

Przeprowadzka muzyki do Internetu już zaszła i to dawno temu. I dzięki temu więcej osób z różnych krajów kupuje np. winyle na Discogsie. Nie jestem zwolennikiem takiego czarno-białego myślenia, że albo przyszłość, albo kamień łupany. W naszej płynnej rzeczywistości wszystko sobie poradzi, chyba, że będzie takim niewypałem jak mini-disc, chociaż on też ma na pewno jakiś pasjonatów na jakimś internetowym forum.

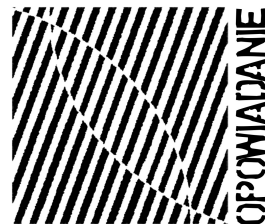
Ostatnie pytanie: Czy gdyby Plexus of Infinity było jedynym labeliem na świecie, to wydawałbyś u nas płyty?

Oczywiście, że wydawałbym u Was płyty. A potem ukradł patenty i założył Złe Literę. Pozdro dla Plexusa. Kujawska siła, bracia i siostry!

rozmawiał Adam Kempa

Tobiasz Mullai

Szkic



Wątpa, wymizierowana postać zbliża się powoli wąskim przedścionkiem ku Tymonowi. Co kilka bardzo małych kroków słychać suche kaszlnięcie. Wynurza się z mroku, pozwalając ujrzeć pojedyncze siwe kępki włosów na skroniach i czubku głowy. Człowiek ten jest bardzo przygarbiony, ale prawdopodobnie był kiedyś wysoki. Jego broda nie jest całkiem siwa, gdzieś tam widać jeszcze pasma smolistej czerni. Odzywa się głosem, który nie pasuje do całej jego starczej prezencji:

– Czy długo czekałeś Tymonie?

– Nie, kilkanaście minut. Zresztą trudno orzec, wydaje mi się, że inaczej odczuwam czas niż jeszcze hm, pół roku temu? Trudno orzec.

– Dobrze wiesz, że mógłbym ci zaparzyć herbaty, ale o stokroć bardziej wdzięczny będę jeśli darujesz mi tym razem te gościnne konwencje.

– Nie śmiem wobec tego prosić.

– Dziękuję. Dobry z ciebie chłopak. Może nawet będą z ciebie ludzie, kiedy w końcu odstawisz to gówno.

– Tak, tak...

– Ach, zapalisz?

– Nie, dziękuję... Albo tak, poproszę. Gubię się w tym. Nie wiem już, co robię przyzwyczajenia – czy odmawiam, czy przyjmuję. Chyba rozkłada się to u mnie po połowie, więc...

– Proszę, trzymaj. Czy wszystko w porządku u Elizy? – zapytał mężczyzna, po czym podpałił swojego, a następnie Tymonowego papierosa.

– Hm, kiedy wychodziłem rano jak zwykle leżała i albo udawała, że śpi, albo zrzuciła się spała. Trudno się w tym połapać. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że przez całą noc tylko udaje, że śpi – ale udaje tak dobrze, że sama w to wierzy. Nie zdziwiłbym się też, gdyby się okazało, że faktycznie śpi. W ogóle, jeśli o nią chodzi, nie wiem co by było mnie w stanie zadziwić. Może gdyby pewnego ranka odezwała się do mnie normalnie, jak człowiek.

– Może – odpowiedział Tymon, po czym mocno zaciągnął się dymem tytoniowym. Twarz wykrzywił mu grymas, jakby od zbyt kwaśnej cytryny.

– A więc nie w porządku. Dawno nie widziałem tej dziewczynki. Przyznam Ci się Tymonie, że jeśli kogoś z was byłoby mi szkoda to jej właśnie. Niesamowity potencjał. Leży i nic nie mówi?

– Jak już się obudzę to wyruszam na spacer, które są ostatnio moją jedyną, choć i tak wątpliwą przyjem-

nością. Zresztą, czasem jest przyjemnie, naprawdę. Mówię spacer, bo staram się po drodze zachodzić w różne miejsca, zatrzymuję się gdzieś. Jem albo piję i idę dalej. Czasem coś nagryzmolę na kartce, ale to chyba do niczego. Zresztą, trudno orzec – nikt nie jest dobrym sędzią we własne sprawie, czyż nie? – odrzekł Tymon i znowu zachłystnął się dymem tytoniowym.

– Oczywiście, a już zwłaszcza ty. Poczekaj chwilę, dam ci liścik, przekażesz go Elizie – mężczyzna zabrał się do kreślenia paru zdań na skrawku pożółkłej kartki, która służyć musiała przez pewien czas za podstawkę na kubek z herbatą bądź kawą.

– Dlaczego zwłaszcza ja?

– A właśnie dlatego. Dopiero teraz się ożywiłeś.

– Kiedy?

– Kiedy usłyszałeś o sobie.

Tymon milcząco stwierdził, że to przecież normalne. Poprawił swoje długie, ciemne włosy i kiedy mężczyzna zajęty był zapisywaniem skrawka kartki drobnymi literkami, on przyglądał się sobie w lustrze zawieszonym na ścianie. Na przemian ze wstrętem i podziwem. Podobał się sobie i bał się. Jego brązowe oczy ze zwężonymi źrenicami patrzyły, musiały to przyznać, dość tępo w siebie same. Twarz zdołał kilkudniowy szary puch, który nadawał mu powagi. Kiedy odwrócił twarz od lustra, niemal zapomniał jak wygląda. W końcu w monumentalnym geście mężczyzna podał Tymonowi złożoną kartkę i zagroził:

– Jeśli to otworzysz twoje oczy pokryją się bielmem. I nigdy już nie trafisz do domu.

– Ech, nie zamierzam. Zresztą, Eliza z dnia na dzień znaczy dla mnie coraz mniej, więc i rzeczy z nią związane tracą na wartości. Kiedyś owszem, mógłbym się tym zainteresować. Kiedyś byłem nawet zazdrosny. Kiedyś byłem jej ciekaw. Ale to kiedyś. Teraz Eliza to dla mnie hm... nic dla mnie nie znaczy. Może nie nic

– ale mało. Tyle ile, powiedzmy, zwierzę domowe. Może trochę przesadzam. Nie otworzę tej kartki – po czym spojrzął jeszcze raz w lustro i zaciągnął się resztą papierosa, o którym zdążył zapomnieć. Popiół spadł mu na spodnie i wypalił niewielką dziurkę. – Kurwa! – zakrzyknął, po czym zawstydził się swojej grubiańskości.

– Ach, naprawdę tylko jej będzie mi szkoda – mężczyzna burknął prawie do siebie, wstał, zbliżył się do okna, otworzył je i zaczerpnął świeżego powietrza



Szkic



po czym przyjął kolejną dawkę nikotyny. Wyrzucił papierosa przez okno i zamyślony obserwował jak wiatr nie pozwala mu szybko opaść na bruk. Wyjął kolejne dwa papierosy z kartonowej paczki i poczęstował swojego gościa.

Siedzieli i palili papierosy, jednego za drugim. Tymon nie brał pod uwagę tego, jak bardzo zakręci mu się w głowie, kiedy już wstanie. Mężczyzna nie dbał o stan zdrowia swojego gościa tak jak i nie dbał o swój. W skulonej pozie na fotelu, z przerzedzoną, przedwcześnie posiwiąłą czupryną, z głębokimi zmarszczkami na czole i między brwiami, wychudły, blade, ubrany na czarno wyglądał na wcielenie rezygnacji. Ścianę tuż za nim zajmowały w całości półki z najrozmaitszymi książkami. Pozostałe ściany przyozdabiały płótna z kolorowymi abstrakcjami, które, trzeba było przyznać, dodawały pomieszczeniu żywotności, a nawet ich właściciel na tym tle wypadał mniej ponuro. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby pozbawić zarówno pomieszczenie jak i zrosniętego z nim człowieka tych przejawów artystycznego wigoru. Pozostałaby tylko szarzyzna, tytoniowy dym, spękane i zawalone najrozmaitszymi, często

wymiętymi papierami biurko, poczerniała drewniana podłoga i on – żywa śmierć.

Nie odzywali się do siebie, mężczyzna spoglądał przymrużonymi oczyma na poplamiony sufit. Zastanawiał się skąd tam plamy po kawie i nawet fragmenty odcisków buta. W prawym górnym rogu, patrząc od strony okna, wiła się gęsta pajęczyna, jednak wysokość pokoju jakoś odsuwała w jego oczach niebezpieczeństwo napotkania jej twórcy. Tymon, przypatrując się mu z ukrytym podziwem, jakby dla żartu pomyślał sobie: To ten, który wszystko poznaje lecz nic go nie dotyka. W milczeniu pochłaniali papierosa za papierosem. Suchy kaszel mężczyzny znów dawał o sobie znać.

Wystająca ze śpiwora niewielka dziewczęca głowa o potarganych, długich blond włosach. Szeroko otwarte zielone oczy, rysy twarzy delikatne, wzbudzające zaufanie. Wargi wąskie lecz kształtne, nieco zaciśnięte – jakby ktoś właśnie sprawił tej dziewczynce przykrość. Leży nieruchomo i czujnie patrzy w sufit, jakby odbywał się na nim widoczny tylko dla niej niezwykły pokaz. Albo zatrważająco okropny albo niewypowiedzianie piękny. Z samego wyrazu twarzy trudno byłoby to rozstrzygnąć. Być może jej samej trudno było to rozstrzygnąć. Widać łzę ściekającą po prawym policzku, prawdopodobnie jest to łza wzruszenia a może tylko najzwyklejszy pyłek, od których roило się w pomieszczeniu, podrażnił kanalik łzowy.

Przydałaby się jednak filiżanka tej herbaty, pomyślał Tymon, mógłbym ją stracić ze stołu, ożywić trochę siebie i jego – zabawne, że może być pobudzająca na różne sposoby. Właściwie nie wiemy co tkwi w rzeczach, myślał dalej, dopóki nie są naszą ostatnią deską ratunku, jedynym miarodajnym sprawdzianem wartości są sytuacje graniczne. W stanie zwykłej równowagi wszystko co się udaje zdziałać to tylko dowód na umiejętność wspomagania się czym innym.

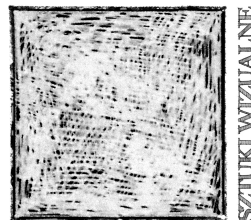
Zapominając o punkcie wyjścia, którym była wyimaginowana filiżanka, Tymon zaczął myśleć o sobie, a ściślej o swojej samowystarczalności. Czuł się dobrze, poprosił o jeszcze jednego papierosa, żeby łatwiej mu było podtrzymać teatralną milkliwość, w którą popadł. Starszy mężczyzna podał papierosa, powoli przeszedł do kuchni i nastawił wodę. Dźwięk rozpalania kuchenki gazowej przypomniał Tymonowi, że przed chwilą myślał o filiżance herbaty.



Kacper Szalecki

Striming malarski i happening cateringowy

czyli o aspekcie uczestnictwa w twórczości Brokat Films



SZTUKI WIZUALNE

W koncepcji Web 2.0, stworzonej w 2003 roku przez Tima O'Reilly, jedną z charakteryzujących ją cech jest partycypacyjność. Zmienia ona biernego odbiorcę w aktywnego użytkownika. Konsekwencją tej zmiany było powstanie portali społecznościowych takich jak Facebook czy YouTube, które opierają się na udostępnianiu swoim konsumentom platform do publikowania treści. Internet zmienił się w ten sposób w nową, pretendującą do bycia publiczną przestrzeń, w której potencjalnie każdy może stać się jednocześnie twórcą i odbiorcą. Przestrzeń ta z jednej strony stwarza nowe możliwości ekspresji dla tego, co partykularne i specyficzne. Umożliwia także uniezależnienie się od instytucji, dystrybutorów i wydawców, tworząc oddolny obieg kultury w przestrzeni Internetu. Z drugiej nie można zapominać, iż koncepcja Web 2.0 powstała z przyczyn ekonomicznych jako projekt korporacyjny. Kreatywność użytkowników wciąż funkcjonuje bowiem w obrębie interfejsów stworzonych przez twórców stron, którzy czerpią korzyści finansowe z wyświetlania reklam i sprzedaży danych.

Interesujące jest zatem, w jaki sposób artyści tworzą swoje prace w ramach mediów społecznościowych i w obrębie ich rynkowych mechanizmów? Problem ten rozważę na przykładzie działalności duetu Brokat Films – projektu Sasy Lubińskiej i Joanny Pawłowskiej. Przeanalizuję twórczość artystek pod względem wykorzystania potencjału partycypacyjnego sieci Web 2.0 i jego uwikłanie w mechanizmy rynkowe. Zaczynając od procesu tworzenia, poprzez estetykę i formę filmów i grafik umieszczanych na stronach YouTube i Facebook, a kończąc na analizie streamingu *Malujz Sasq. Big Painter* i happeningu *Body obiad*, zbuduję – analogiczną do piramidy żywienia – piramidę uczestnictwa Brokat Films.

Przygotuj składniki

W filmiku *HOW ART WORKS? – a serious movie about problems and solutions* grupa artystów związana z internetową galerią sztuki współczesnej Billy Gallery w instruktażowej, animowanej formie przedstawia, w jaki sposób funkcjonuje współczesna kultura i rynek sztuki. Przykładowo płynnie zaanimowane przenikanie się kolorów reprezentuje rozmycie się granicy pomiędzy twórcą, a konsumentem. Autorzy zwracają również uwagę na status kreatyw-

ności traktowanej obecnie jako styl życia. W tym nowym, medialnym środowisku, film prezentuje jeszcze jedno przenikanie się składników, którego przykładem są media społecznościowe. Pokazuje je scena, w której artysta zamknięty w szklanym pomieszczeniu przygląda się przelatującym poza akwariem elementom takim jak: chustka Pani „Smith”, Lady Gaga czy Wielki Zderzac Hadronów. Należą one do różnych porządków, ale współtworzą jedną kulturę. Zachodzi konwergencja komercyjnej kultury popularnej ze swoją i autentyczną „kulturą ludu”. Zarówno YouTube jak i Facebook umożliwiają płynne przenikanie się w obrębie platform treści dystrybuowanych przez czołowe wytwórnie muzyczne, wypowiedzi celebrytów i posty znajomych. Pomiędzy różnymi porządkami i w środku tegoż zamętu sytuuje się Brokat Films. Zakres aktywności duetu rozpięty jest pomiędzy: programem kulinarnym *Gotuj z Sasq* i szeroko rozumianymi poradnikami lifestylowymi (np. *Jak rozmrozić lodówkę*), videoklipami do autorskiej muzyki oraz transmisją reality show *Sasa Maluje. Big Painter*. Duet nagrywa także audycje radiowe i organizuje happeningi.

Mieszanka aktywności duetu byłaby niemożliwa, gdyby nie istniejące sieci peer-to-peer z zasobami oprogramowania graficznego i poradniki wideo dostępne na YouTube. Główne składniki wizualnych wideokolaży budowane przez Brokat Films pochodzą z internetowych baz danych. Artystki z dużą dowolnością korzystają z przepastnych bibliotek grafik opublikowanych na licencji Creative Commons Public Domain na stronie Pixabay. Powszechną praktyką jest też wykorzystywanie przez nie przypadkowych materiałów wizualnych pochodzących z wyników wyszukiwarki Google Grafik. Część z obrazów z pewnością objęta jest prawami autorskimi, co Brokat Films jawnie ignoruje, nie usuwając nich widocznych znaków wodnych. Równie często autorki posługują się nieskomplikowanymi, internetowymi programami do modyfikowania tekstu, głównie zamiany w brokatowy obrazek gif.

Praktyczne umiejętności obsługi oprogramowania do montażu, efektów specjalnych i obróbki dźwięku duet zdobył natomiast dzięki „zbiorowej wiedzy” YouTube. Zdaniem Pierre’a Levy’ego kolektywna



Striming malarski i happening cateringowy



inteligencja opiera się na języku, w związku z czym wszelkie rozwiązania techniczne takie jak pismo, prasa drukarska czy Internet, wpływają na jej poszerzenie. Tutoriale na Youtube są wstawiane zarówno przez grafików-amatorów jak i wykładowców wyższych uczelni, co umożliwia rozszerzanie swojej wiedzy na różnych poziomach zaawansowania. Następuje również wymiana korzyści pomiędzy odbiorcami, a twórcami poradników. Duet Brokat Films dzięki „zbiorowej inteligencji” opanowały oprogramowanie w stopniu umożliwiającym im tworzenie filmów, które następnie mogą być źródłem rozrywki autorów tutoriali.

Vegan kamp cuisine.

Dobry smak ukryty w złym smaku

Jednym z głównych źródeł inspiracji Brokat Films jest aktywność użytkowników mediów społecznościowych. Popularność takich stron jak „Starzy ludzie na fb” (9433 polubień) „Obiadowe Grażyny” (9 961 polubień) czy „Magiczna Kraina Grażyny” (99 644 polubień) świadczą o wytworzeniu się specyficznego rodzaju korzystania z mediów społecznościowych. Jego charakterystyczną cechą jest wizualna obfitość, która opiera się na wypełnianiu swojego profilu, szczególnie przez starszych użytkowników, obrazkami kwiatów, całujących się par, parujących kubków gorącej czekolady z nutą kardamonu z zimowym krajobrazem w tle, syren i wodospadów, pieśków, kotków, aniołów, delfinów, porcelanowych bibelotów itd. Grafiki uzupełnione są komentarza-

mi: „Miłego dnia”, „Wspaniałego poniedziałku”, „Pozdrawiam”. Być może jest to nowy rodzaj uczestnictwa, pochodzący z praktyk życia codziennego. Wtedy schematyczne, posługujące się podobnym kodem wizualnym obrazki byłyby przełożeniem codziennego powitania lub życzliwego uśmiechu do znajomych. Nie można jednak oprzeć się wrażeniu, iż praktyki te przez swoją powierzchowność, mają charakter iluzji uczestnictwa. Aktywność, polegająca na wymianie komentarzy ogranicza się do umieszczania cyfrowych grafik i pozdrowień. Forma, swoim nadmiarem, przytłacza szczątkową treść.

Brokat Films korzysta z tej swobody cyfrowej nadaktywności. Dodatkowo skrajny estetyzm pikselowo-brokatowych fotomontaży, miesza z brudną codziennością, zaobserwowaną na grupach dyskusyjnych związanych z gastronomią i pielęgnacją paznokci na portalu Facebook. Sfeminizowane peryferia Internetu obfitują w infantylizm. Sposobem jego wyrażania są liczne zdobnienia i emotikony. Posty i komentarze są przez użytkowniczkę dopełniane fotografiami potraw, ułożonych w misterne kompozycje. W tym rejonie kulinarnej ekspresji, autorki filmów odnalazły abstrakcyjnie rozlane majonezy i keczupy oraz dużo bardziej zaskakujące reprezentacje twarzy człowieka, zrobione z makaronu, ziemniaków i kiełbasy. Susan Sonntag odnajduje pierwsze przejawy kampu u malarzy manierystów. Artyści w tym czasie malowali zdeformowane ciała o wyrafinowanych, teatralnych gestach. Przedsta-



wienia często miały zaskakiwać widza jak w przypadku *Ogrodnika* Giuseppe Arcimboldiego. Obraz przedstawia jednocześnie misę z warzywami, która po obroceniu relacji wertykalnych, ułoży się w twarz człowieka. „Twórczość” gastronomiczna uprawiana w grupach takich jak: „Coś z niczego, ale smaczne i na naszą kieszeń” ma wiele wspólnego z tym przykładem. Brokat Films czerpie z tej szczerej, kulinarno-estetycznej dezynwoltury, hiperbolizuje i mutuje ją. Przykładem może być seria fotomontaży wykorzystująca, znalezione na forach fotografie jedzenia i zdobionych paznokci. Powstają w ten sposób hybrydyczne, kolacyjno-tipsowe koszmary, które dobitnie eksponują obrzydliwość i zły smak. Nieadekwatność wynikająca z komponowania dań w antropomorficzne przedstawienia obnaża się w momencie, gdy zamiast twarzy z ziemniaka, na talerzu znajdują się ogórki kiszzone z tipsami.

Na YouTube marzenia stają się rzeczywistością

Nie można zapominać o komercyjnym aspekcie sieci Web 2.0. Na stronie YouTube jest wiele filmików, które, przyjmując amatorską formę, są tworzone przez profesjonalistów, czego kanonicznym przykładem stał się kanał Lonelygirl15. Opisaną przeze mnie schematyczną estetykę internetowych, ruszających się brokatowych obrazków można znaleźć także w popkulturze. Piosenkarka Mathangi Arulpragasam, lepiej znana pod pseudonimem M.I.A., w wideoklipie XXXO wykorzystwała cały szereg tego typu efektów, tworząc coś, co: „wygląda jak Facebook mojej mamy, kiedy publikuje wersety z Biblii”

Wydaje się, że w przypadku Brokat Films relacja jest odwrotna. Autorki sięgają po komercyjne gatunki, bardziej związane z telewizyjną dystrybucją niż internetową partycypacją. Realizując program osiągnięcia sławy typu „zrób to sam”, artystki używają takich form jak: program kulinarny, teledysk czy reklama i produkują quasi-profesjonalne filmy. Mimo wielu chęci, nagrania mają świadomie eksponowaną złą jakość obrazu i dźwięku. Estetycznie bardziej przypominają wczesną twórczość Shazzy i Marzii Giaggol i telezakupy Mango niż współczesne vlogi czy wysokobudżetowe klipy.

Brokat Films nie ukrywają swoich chęci osiągnięcia finansowego i artystycznego sukcesu. Można powiedzieć, że niejako ujawniają komercyjne mechanizmy YouTube i wyolbrzymiają je do sztuczności, podobnie jak Ewa Wachowicz w programie *Gotuj z Ewą* zachwalając swoją nową kuchnię. Zachęca-



nie w filmach do uczestnictwa jest tak naprawdę zachętą do konsumpcji medialnej. Wszelkie zwroty typu „Kto głodny like, kto nic nie zje komć” mają na celu sprowokowanie aktywności odbiorców, a tym samym większą popularność kanału.

Gotuj z Sasą i aktywności duetu na Facebooku tworzą iluzyjną formę uczestnictwa. Nawiązując do wspomnianych notatek Susan Sontag, można zastanowić się czym byłaby kultura uczestnictwa online zobaczona przez „soczewkę kampusu wyłączającą treść”. Otrzymany pusty frazes „partycypacyjności” to być może właśnie nachalne namawianie do aktywności, eksponowanie w żartobliwej formie jedynie fasadowego charakteru uczestnictwa w sieci Web 2.0. Jego metaforą może być scena z odcinka *Wróżby z warzyw*, kiedy Sasa podłącza się słuchawkami do marchewki i mówi: „Mamy pierwszy telefon od telewidza”. Ciągłe odwoływanie się do telewizyjnej formuły programów kulinarnych i informacyjnych dodatkowo uwidacznia nieadekwatność i sztuczność zwrotów zachęcających do uczestniczenia typu: „Czym jest specjalistyczne urządzenie Sasy do usuwania lodu”. Przypomina to powtórki nadejanych na żywo finałów telewizyjnych show, gdzie przy informacji o głosowaniu, dodawane są adnotacje o ich nieaktualności.

„Kampowym uczestnictwem” może być także, wchodzenie w dialog z innymi produkcjami medialnymi.



Brokat Films niczym opisani przez Henrego Jenkinsa w *Kulturze konwergencji* fani, konsumują kulturę popularną i wykorzystując jej produkty, tworzą własne dzieła. Przykładem może być grafika stworzona ze zdjęcia reklamującego program *Projekt Lady*. Fotomontaż o prześmiewczym charakterze pokazuje, że jednym z celów Brokat Films jest dostanie się do „świata medialnego”. Autorki wkleiły swoje twarze na miejsce menterek występujących w programie, logo reklamowe podmieniły swoją nazwą, a prowadzącą reality show Małgorzatę Rozenek przemieniły w wielką sojową parówkę.

Połączenie komercyjnego aspektu z amatorską twórczością Brokat Films doprawia pojęciami i terminologią zaczerpniętą z dyskursu akademickiego, przez co: „Gesty pełne hipokryzji mają żartobliwy sens dla wtajemniczonych i inny, bardziej bezosobowy dla obcych”. Liczne odwołania do Michela Foucaulta, gender studies i samej Susan Sontag, powodują, że filmy mogą trafić do szerokiego spektrum odbiorców. Część z nich zauważy tylko niewyszukane aluzje seksualne, nieumyte naczynia, zwykły wygłup, czy „schizolski” klimat, pozostając obojętnymi na hermetyczne żarty z nadużywania słowa „dyskurs”. Przyjmowanie przez Sasę coraz to nowych ról

(kucharka, prezenterka, youtuberka, malarka, paznokieciarka, piosenkarka i autorka muzyki eksperymentalnej, redaktorka audycji radiowych) przypomina mi słowa Katarzyny Kozyry dotyczące jej pracy: „W sztuce marzenia stają się rzeczywistością”, „z takiej mojej wszechmocy rodzi się przekonanie, że za co bym się nie wzięła, wszystko mi się uda, no bo potencjalnie jestem utalentowana w każdej dziedzinie”.

Być może pozornie niemożliwe do połączenia cele: uniknięcia do internetowego mainstreamu, osiągnięcia sukcesu medialnego i uznania na scenie artystycznej, przy jednoczesnym posługiwaniu się formami amatorskimi, profesjonalnymi, odnoszącymi się do kultury popularnej i dyskursu akademickiego, są osiągalne. Bardzo trudno przewidzieć, co na platformie YouTube stanie się popularne. Niezbadane ścieżki popularności na YouTube wyznacza między innymi włoska wokalistka-poliglotka Marzia Giaggoli, która obecnie wygrała w internetowym głosowaniu na reprezentowanie Polski w konkursie piosenki Eurowizja 2017 i liczy, że dzięki aktywności fanów jej się to uda.

Oczywiście można za autorem *Kultu amatoras* szukać paraleli pomiędzy YouTube a teorią o nieskończonej ilości małp Thomasa Henrego Huxleya i twierdzić, że możliwość ekspresji amatorów, którą dają media społecznościowe, to upadek kultury. Jednak wydaje mi się, że warto przypomnieć o znaczeniu amatorskiej twórczości na początku XX wieku. Odkrycie malarstwa Henri Rousseau i rzeźby afrykańskiej było ożywcze i wpłynęło na znaczenie na rozwój kubizmu. Internetowa, amatorska twórczość staje się źródłem nowych inspiracji, choć, jak twierdzi Sasa, byłby to taniec na zgłiszczach, to wciąż jest na czym tańczyć.

Striming malarski i happenig cateringowy

W piramidzie uczestnictwa Brokat Films najwyżej znajdują się działania, które stwarzają realne możliwości brania udziału i wpływania na kształt pracowni. Odwołując się do podziału komunikowania się zaproponowanego przez Ryszarda Kluszczyńskiego, można interpretować live streaming, czyli transmisję danych strumieniowych na żywo, jako komunikację quasi-bezpośrednią. W tejże komunikacji „przestrzeń zostaje rozszerzona do takich rozmiarów, które czynią niemożliwym bezpośredni kontakt. Zapośredniczenie kontaktu nie przeszkadza jednak w nawiązaniu dialogu (interakcji interpersonalnej)”. Potrzebę takiego kontaktu mieli najbardziej zaangażowani

Striming malarski i happening cateringowy

zowani youtuberzy, którzy przed wprowadzeniem usługi transmisji na żywo przez YouTube korzystali ze strony StickCam.

Może to sugerować, że platforma wraz z systemem ocen, subskrypcji i komentowania nie umożliwiała wystarczającej możliwości kontaktu pomiędzy twórcami, a odbiorcami. Na kanale BrokatFilms pierwszy „striming malarski” pojawił się w związku z koniecznością namalowania cyklu obrazów do dyplomu magisterskiego przez Sasę Lubińską. Wszystkie te działania realizujące hasło Youtube „Transmituj siebie” zwróciły uwagę na żmudny i czasochłonny proces twórczy, realizowany w reality show *Maluj z Sasą. Big Painter*. Uczestnictwo posługujące się quasi-bezpośrednią komunikacją stało się możliwe, dzięki interfejsowi z czatem. Choć wydaje się, że Sasa bardziej niż kontaktu z odbiorcami, potrzebowała nadzoru, to liczba wysłanych w czasie rzeczywistym wiadomości wyniosła ponad tysiąc. Przez 18 dni, pomiędzy 24 lipca, a 2 września, Sasa udostępniała transmisję na żywo ze swojej pracowni. Przez czas około 97 godzin i 17 minut była dostępna online, rozmawiała ze znajomymi, jadła i oczywiście malowała. Można powiedzieć, że stał się to rodzaj zapośredniczonego przez platformę YouTube performansu.

Marina Abramović, pionierka sztuki performansu w 2010 roku w MoMA prezentowała swoją pracę *The Artist Is Present*, w której siedziała nieruchomo przez ponad 700 godzin. Naprzeciw niej znajdowało się krzesło, które zajmowali odwiedzający muzeum goście. Cała akcja była także transmitowana na żywo na stronie instytucji, przez co jeszcze większa liczba osób mogła uczestniczyć w wydarzeniu. W *Maluj z Sasą. Big Painter* oczywiście nie ma charakteryzującej twórczość Mariny Abramović powagi i dyscypliny. Porównanie to ma raczej charakter zwrócenia uwagi na wykorzystanie technik medialnych do nowych możliwości uczestniczenia w akcjach artystycznych.

Swoje doświadczenia z transmisją na żywo Sasa wykorzystała, podczas obrony magisterskiej, w której dzięki YouTube, poza rodzicami, przyjaciółmi i komisją uczestniczyło 67 osób wyświetlających live streaming w Internecie. Brokat Films wykorzystało go również realizując *Happening cateringowy* w Galerii Bardzo Białej, gdzie duet odwołał się do ekskluzywnego sposobu podawania sushi na nagim ciele modelki, i z charakterystycznym dla siebie menu (ziemniaki, ogórki kiszzone, kotlety i parówki



Striming malarski i happening cateringowy

sojowe) przygotował „obiad na jednego mężczyznę, ale dla bardzo wielu osób”. Podczas gotowania gości obsługiwał kelner, roznoszący w pierw wódkę i ogórki kiszane, a później wodę po ogórkach i gotowanych parówkach. Odmowa wypicia trunku była jednoznaczna z byciem wyproszonym z sali. Akcja była rejestrowana przez Joasię jako materiał do kolejnego odcinka *Gotuj z Sasą* oraz jednocześnie transmitowana na żywo przez ustawioną na statywie kamerę. Przestrzeń możliwego uczestnictwa w wydarzeniu została tym samym poszerzona. Oczywiście nie można porównać doświadczeń osób biorących aktywny udział w happeningu, poprzez smakowanie „potraw” i „picie wykwinnych napoi”.

W zrealizowanym po wydarzeniu materiale filmowym widać hybrydyczne zespolenie estetyk zaczerpniętych z gastronomicznej prowincji Internetu, świata medialnego oraz kampanyjowej chęci zrobienia czegoś niesamowitego. Brokat Films, tworząc w różnych gatunkach i dzięki wykorzystaniu najnowszych opcji mediów społecznościowych, umożliwiając swoim odbiorcom partycypowanie w swojej aktywności na różnych poziomach. Zaczynając od budowania iluzji uczestnictwa, dzięki zwrotom zaczerpniętym z programów telewizyjnych, poprzez czat towarzyszący transmisji na żywo, a kończąc na happeningach odbywających się w dwóch przestrzeniach.



WYBRANA BIBLIOGRAFIA

1. Tim O'Reilly, *What is Web 2.0. Design Patterns and Business Models for the Next Generation of Software*, <http://www.oreilly.com/pub/a//web2/archive/what-is-web-20.html> [data dostępu do wszystkich lików: 28.01.2017].
2. Tymek Borowski i Paweł Sysiak, *HOWART WORKS? - a serious movie about problems and solutions*, <https://www.youtube.com/watch?v=JZ-eStuf7Ko>
3. Jean Burgess, Joshua Green, *YouTube. Wideo onlinea kultura uczestnictwa*, przekład Tomasz Płudowski, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2011 s. 39.
4. Howard Rheingold, *Pierre Lévy on Collective Intelligence Literacy*
5. Jean Burgess, Joshua Green, dz.cyt, s. 49
6. Henry Jenkins, *Kultura konwergencji. Zderzenie starych i nowych mediów*, przekład Małgorzata Bernatowicz, Mirosław Filiciak, Wydawnictwo Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2007, s. 131-165
7. Ryszard W. Kluszczyński, *Spółczesność informacyjna. Cyberkultura. Sztuka multimediów*, Rabid, Kraków 2001, s. 19.
8. Susan Sontag, *Notatki o kampie*, przekład Wanda Warstein, [w:] *Literatura na świecie*, 1979, nr 9, s. 312
9. Andrew Keen, *Kult amatora. Jak Internet niszczy kulturę*, przekład Małgorzata Bernatowicz, Katarzyna Topolska-Ghariani, Wydawnictwo Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2007, s. 25



Katarzyna Stępień

UZDRAWIAJĄCE DZWIĘKI



Jednym z tematów, które nigdy się nie kończą jest zdecydowanie wpływ muzyki na nasze życie. Nie jest to może odkrywcze, jednak niewiele osób zdaje sobie sprawę jak wielki jest on naprawdę. Z tych bardziej „zwyčajnych” form - wprowadza tak zwany klimat, stanowi źródło rozrywki/relaksu/pogłębienia stanu wszechogarniającego smutku - do wyboru do koloru. Jednak co najważniejsze, przy odpowiednich częstotliwościach jest w stanie dodać sił, zredukować ból i wprowadzić wiele długofalowych skutków jak na przykład trwała regeneracja DNA.

Ponad 90% dźwięków z otoczenia rejestrujemy podświadomie. Naszym narzędziem słuchu nie są tak naprawdę same uszy, ale całe ciało. Bębenek ucha odbiera jedynie sygnał otoczenia (25 razy), ale – oprócz niego – mamy mózg, w którym wszelka ludzka percepcja jest multi-sensoryczna, co oznacza, że przetwarzamy informacje wielokanałowe. Słyszymy szkieletem, skórą, całą powierzchnią ciała. Nawet w oczach istnieją komórki rejestrujące zmiany ciśnienia powietrza. Nasz organ słuchu sam w sobie też nie jest pasywny: człowiek może zlokalizować

źródło dźwięku, zanim poruszy głową, ponieważ ucho nie tylko przyjmuje dźwięk, ale samo go wytwarza. W zakresie dźwięku jedyny problem o jakim powszechnie się słyszy to nadmierna ilość decybeli. Granica słyszalności rozpina się pomiędzy 20 a 200 dB. Stąd na przykład nie słyszymy ludzkiego oddechu o poziomie głośności 10 decybeli. Nie słyszymy też ultradźwięków wytwarzanych przez delfiny, dzięki pęcherzykom nosowym umieszczonym przed mózgiem, a stosowanych przy leczeniu dzieci cierpiących na autyzm, mózgowie porażenie dziecięce oraz zespół Downa. Co jednak z dźwiękami, które przekraczają „bezpieczną” granicę 75 dB? Na dłuższą metę sprawiają nam ból. Są to dźwięki ostre, atakujące organizm. I tak na przykład praca w fabrykach przy maszynach, gdzie poziom głośności dochodzi do 100/130 dB, wymaga już założeń ochroniaczy. Okazuje się jednak, że to nie decybele są najgorsze jeśli chodzi o dźwięk. Wpływ jaki ma na nas muzyka, a konkretnie częstotliwość z jaką dany utworów słuchamy stanowi źródło problemu. Jeśli wpiszeć w wyszukiwarkę „432Hz” waszym oczom ukaże się multum wszelakich filmików z muzyką medytacyjną tak nastrojoną i niezliczoną ilość artykułów o pozytywnym wpływie jej na nasz organizm. Jeśli jednak pogrzebiecie głębiej, nagle okaże się, że może to wcale nie zwykły mit, a złożona teoria z bogatym zapleczem historycznym. Nie mnie to jednak oceniać, także zapraszam w podróż do czasów zamierzających.

Aż do 1711 roku, kiedy wynaleziono kamerton, nie istniał jeden konkretny sposób na nastrojenie instrumentów. Ten sam utwór mógł brzmieć zupełnie inaczej w zależności od sprzętu na jakim się grało, ile miał on lat i gdzie był grany. Jednak nawet po roku 1711 nie było na to określonego sposobu. Zespoły w różnych regionach często stosowały całkowicie inne kamertony rezonansowe przy różnych częstotliwościach. Sto lat później zaczęto jednak starać się cały temat jakoś uregulować - zaczęto więc stroić instrumenty na wycucie „ile razy można obrócić kołek” mając na uwadze grubość strun i ich napięcie. Okazało się, że struny brzmią lepiej kiedy napięcie jest wyższe. Wobec tego kołek dociskano i dociskano, aż śpiewacy z konkurujących ze sobą orkiestr zaczęli się skarżyć na obowiązek śpiewania w za wysokiej skali. Wtedy to w 1859 roku rząd francuski podpisał oficjalny akt dotyczący strojenia na A=432Hz.



fot. Flavis Kubiński

Uzdrowiające dźwięki

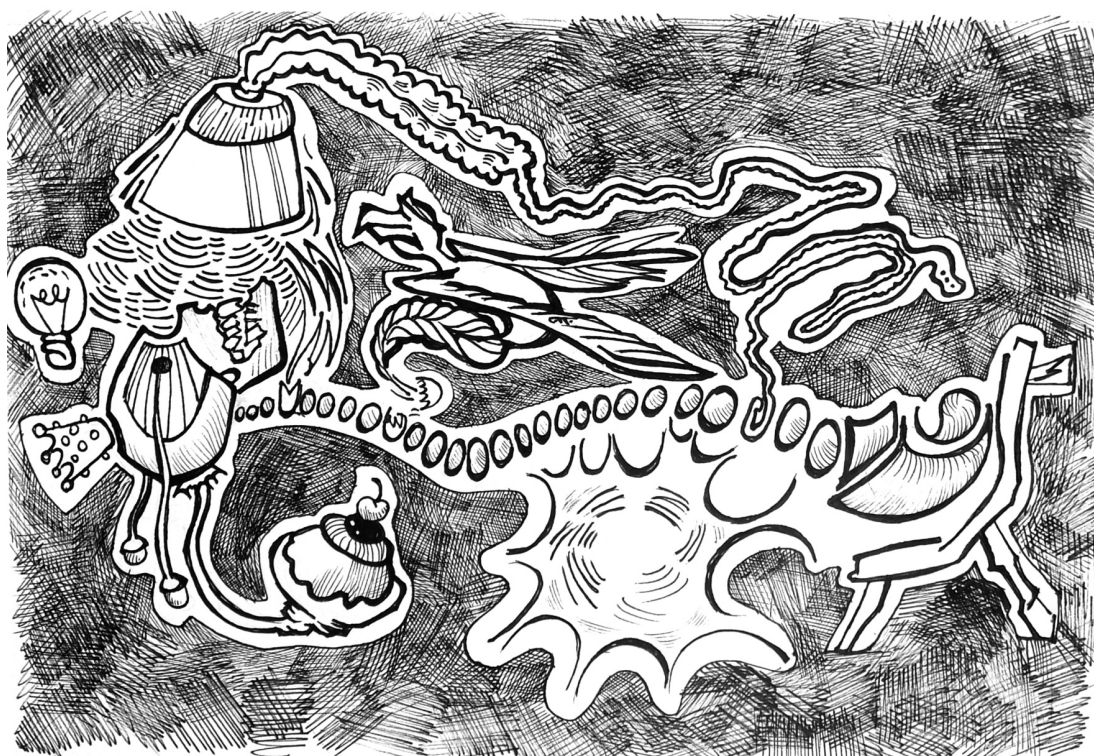


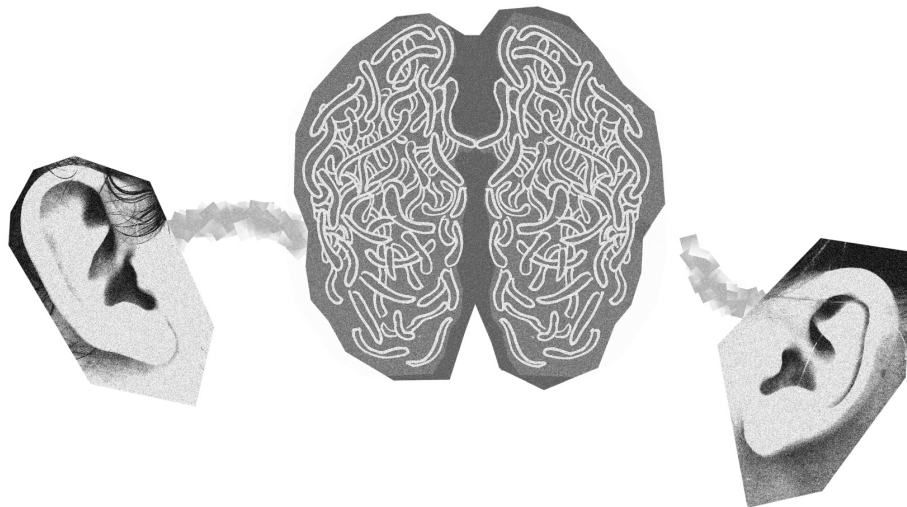
Współczesna muzyka dostrojona jest do 440 Hz, jednak zmiana ta nastąpiła oficjalnie dopiero 64 lata temu. Pierwsze próby narzucenia zmiany strojenia instrumentów ze skali, która jest człowiekowi naturalna, czyli z $A=432$ na $A=440$, pojawiły się w 1917 roku z inicjatywy Rockefellerów, zainspirowanych pomysłami J. C. Deagana. Irlandczyka amerykańskiego pochodzenia, byłego żołnierza marynarki wojennej US Army, do działania „pchnęło” dzieło niemieckiego fizyka Hermanna Helmholtza, zatytułowane *Theory of the Sensations of Tone as a Foundation of Music Theory* (1862 rok). Zafascynowany tym zjawiskiem i jego wpływem na stany emocjonalne i mentalne człowieka, stworzył dzwonki obiadowe, które posłużyły mu do dalszych badań. Koniec końców pomimo zgody rządu amerykańskiego, świat muzyczny nie chciał ulec.

Wtedy znany wszystkim minister niemieckiej propagandy III Rzeszy Joseph Goebbels, zaadoptował strojenie 440 Hz od J.C. Doeagana. Goebbels użył dźwięku dzwonka stworzonego przez Doeagana jako „wezwanie do walki” w nazistowskim filmie propagandowym. Wobec tego, jako pierwsi pomysł zaakceptowali oficjalnie Niemcy w 1939 roku wpro-

wadząc legislację standaryzującą częstotliwość 440 Hz jako ISO 16 (Międzynarodowa Organizacja Normalizacyjna) dla strojenia wszystkich instrumentów. 440 Hz zmienia wibracje płynu jaki znajduje się w wewnętrznym uchu i jego spirali, co czyni nas zdekoncentrowanymi. Wpływa negatywnie na zachowania społeczne, pamięć, percepcję, uczenie się. Powoduje zaburzenia w naszym polu Meissnera-Ochsenfelda (pole wokół nadprzewodnika, czyli tzw. auryczne pole człowieka emanowane przez układ nerwowy), którego cząsteczki zwane vitonami (często nazywane Aurą lub Duszą) zakłócają pracę DNA i RNA. Zakłócenie tego pola powoduje zaburzenia w ciele energetycznym i fizycznym, co daje możliwość wpływania na zachowania psychofizyczne istot i programowanie ich zachowań. Nie bez powodu więc mówi się, że wdrożenie nowego systemu miało za zadanie ukształtowanie mas ludzkich w odpowiednim kierunku (czyt. wyścig szczurów, pogoń za pieniądzem).

Dźwięk A, strojony do częstotliwości 432 Hz jest wibracją złotego podziału PHI, jednoczy właściwości światła, czasu, przestrzeni, materii, grawitacji. Nasz mózg wchodzi w stan synchronizacji z tak zwanymi





falami Schumanna, które są niezbędne do prawidłowego funkcjonowania wielu procesów biologicznych. Co ciekawe, zasady tego strojenia były znane już około 1800 lat p.n.e. Według Pitagorasa używano do tego stosunek 3:2 dźwięków, co daje nam ścisłe matematyczne powiązanie skali $A=432\text{Hz}$ z regułą złotego środka stworzoną przez greckiego rzeźbiarza Fidiasza.

Wyjątkową skalą opartą o złoty podział jest Solfeggio. Jest to 9-tonowy zestaw dźwięków, które wibrują dokładnie na częstotliwościach niezbędnych do transformacji. Poszczególne częstotliwości mają wpływ na różne blokady naszego ciała z których stopniowo przy ich słuchaniu się uwalniamy. Według wierzeń religii dharmicznych w naszym ciele znajdują się ośrodki energetyczne, czyli tzw. czakry. Każdy z nich odbiera, magazynuje i promieniuje energię o właściwym przeznaczeniu. I tak pierwszą czakrę (korzenia) rozwija częstotliwość 396Hz uwalniając od poczucia winy, kolejną (sakralną) 417Hz ułatwiając zmiany, trzecią (splot słoneczny) 528Hz odpowiedzialną za transformacje i cuda, czwartą czakrę (serca) 639Hz wspomagając nas w relacjach międzyludzkich, piątą (gardła) 741Hz pomagając rozbudzić intuicję, szóstą (trzecie oko) 852Hz umożliwiając powrót do duchowości i ostatnią (czakrę korony) 963Hz – odpowiada za tzw. aktywator szyszyńki, czyli jasnowidzenie.

Te potężne częstotliwości zostały na nowo odkryte przez dr Joseph Puleo i opisane w książce dra Leonarda Horowitza *Healing Codes for the Biological Apocalypse*. Ten ostatni wyodrębnił z kolei jedynie 6 tonów (bez 963Hz) oznaczonych pierwszymi sylabami zaczerpniętymi z hymnu do Jana Chrzciciela napisanego przez Paolo Diacono („Ut queant laxis,

Resonare fibris, Mira gestorum, Famuli tuorum, Solve polluti, Labii reatum”). Jest to tak zwana oryginalna skala muzyczna, w oparciu której tworzyli muzykę tacy kompozytorzy jak Mozart czy Beethoven. Temat starożytnej skali zainteresował jednak nie tylko Horowitza, ale też wielu innych. I tym sposobem w inżynierii genetycznej częstotliwość 528Hz jest używana do naprawy wadliwych struktur „kodów życia”. Częstotliwość ta współbrzmi z rdzeniem kręgowym, dokonując w ramach dostrajania się do zdrowej częstotliwości DNA, stosownych zmian w strukturach komórek. Natomiast badania przeprowadzone przez Fabiena Mamana na Uniwersytecie Jussieu w Paryżu i w USA dowodzą, że w przypadku komórek nowotworowych niektóre częstotliwości mogą powodować ich rozpad.

Masa jest artykułów, prac badawczych, wykładów mówiących o tym jak dana częstotliwość dźwięku wpływa na nasz organizm. Ile w tym jednak prawdy? Musimy pamiętać o jednej kwestii: człowiek nie jest maszyną i często to co „zalecane przez fachowców”, nie jest dla nas dobre jako że liczy się nasze indywidualne odczuwanie rzeczywistości. Dlatego też zdecydowałam, że mój pogląd w tym zakresie pozostawię owianą tajemnicą. Wobec tego jedyne co mi w chwili obecnej pozostaje to mieć nadzieję, że dostatecznie zainteresowałam Was tą tematyką. Polecam zapoznać się z badaniami jakie prowadzi na temat wpływu częstotliwości muzyki na organizm człowieka np. Instytut Monroe’a oraz z praktykami Transcendentalnej Medytacji, gdzie często aby wprowadzić się w stan głębokiego relaksu stosuje się właśnie skalę solfeżową lub dźwięk złotego podziału PHI.

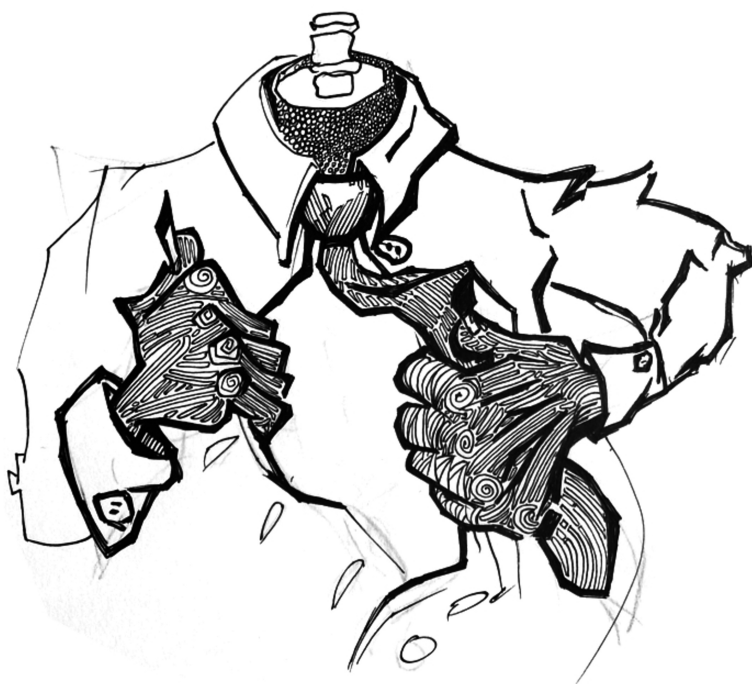


Mikołaj Anton Zieliński

Szara Strefa

Jest najpóźniej jak może być. Jest tak późno, że praktycznie taki czas nie istnieje, jest już gdzieś poza usankcjonowanym rozumieniem. Nie jest też rzeczą prostą do wyobrażenia sobie, że kiedykolwiek jeszcze będzie jakieś wcześniej. Wewnątrz, na dnie pustego jak kościół, acz tłustego brzucha tej niewyobrażalnej pory idzie pochylony człowiek w długim wytartym płaszczu i wysłużonym kapeluszu. Sunie z pewnym trudem na tle bezbarwnej ściany ochlapanej mdłym światłem pobliskiej latarni. Ten człowiek to ja – Imored. Wciskam szyję głębiej w kołnierz, gdy przemykam kołyszącym mostem chodnika, dotykając raz po raz murów zakrzywiających się nieoczekiwanie i drwiących z architektonicznych zasad. Zszedłem kilka godzin wcześniej z werandy prowadzącej na pierwsze piętro osowiałej kamienicy umiejscowionej po zachodniej stronie tonącej we mgle dzielnicy, której zazwyczaj nikt nie dość uważny nie dostrzega, mimo że mieści się ona tuż obok centrum miasta. Wyszedłem z pustych lochów więzienia, w którym nikt na mnie nie czekał, by mnie oskarżyć o zbrodnię, którą popełniłem. Przyszedłem sam, z własnej inicjatywy, aby ponieść konsekwencje swoich działań, opuszczając w milczeniu rodzinę, której podczas ko-

lacji wyznałem swój czyn. Zamordowałem z zimną krwią mojego szefa, człowieka, który chciał być mi kolegą i mentorem, ojcem bezkształtnej próżni. Zważyłem go do piwnicy pod pozorem ciekawej rozmowy połączonej z konsumpcją niezłego trunku w profesjonalnej atmosferze, po czym zacisnąłem mu na szyi splecione ze sobą trzy wiolinowe struny od gitary akustycznej. Wpadłem na pomysł tej metody poprzedniej nocy, gdy tuliłem do snu moją zmęczoną żonę i nagle na ekranie pobliskiego komputera zaczął odtwarzać się nieznany mi film. Przed moimi oczyma pojawił się obraz przedstawiający połyskujące metalicznie w zimnym jak stal świetle popiersie masywnego Murzyna z wypisanym na grubych rysach twarzy pogardliwym szaleństwem. Odczułem ukłucie dotkliwej grozy i zebrało mi się na mdłości, gdy ujrzałem tę twarz, lecz nie mogłem odwrócić wzroku od potwornej postaci oraz podejrzanego powroza okręconego wokół czarnoskórej szyi. „Żałosne zaplute skurwysyny” – grzmiał. „Sram na to wasze nic nie warte życie i na wszelką wiarę! Myślicie, że mnie pokonacie, bo mi na czymś zależy? Nigdy nie zdołacie poskromić mojej woli, wy sflaczałe obszczane parchy!”. Jego głos zwalniał i rozbrzmiewał



coraz mocniej, gdy napinał karki i kamera zaczęła zbliżać się do jego twarzy ukazując wplecione w sznur romboidalne ostrza, które coraz bardziej wrzynwały mu się w ciało. Gdy zakończył swój nicościowy monolog, naparł do przodu, jak wół ciągnący wóz załadowany granitowymi blokami i wówczas smolistoczarna, opalizująca krew zaczęła gęsto spływać okalającym strumieniem wokół jego karku, a demoniczny uśmiech ukazał się na siniejących grafitowo spęczniałych wargach. Kamera oddaliła się, ukazując to, co jak dotąd było niewidoczne - miejsce przytwierdzenia powrozu. Mniej więcej trzy metry za barczystym bokserem stało dwóch chudszych, lecz nadal dobrze zbudowanych Murzynów przykutych za żelazne pasy do ściany, trzymających pod ręce nagą błękitnowłosą dziewczynę o śnieżnobiałej skórze. Reszta ciała zemdłonej młodej kobiety wisiała w powietrzu na skutek napięcia powrozu, który od szyi czarnoskórego, konającego w paroksyzmie chrapliwego śmiechu, biegł wprost włąb jej wagi. Moja żona poruszyła się mamrocząc, jakby miała się za chwilę obudzić, a ja wyrwany z chorego transu wywołanego ohydny obrazem zacząłem panikować, gdyż nie chciałem, by ona zobaczyła to, co ja. Następne co pamiętam to dźwięk kaszlu psa połączony z uderzeniem skórzanego worka z plastikowymi sztuczkami o wilgotną glebę. Chciałem na swoją rękę dociec sprawiedliwości. Czyż nie jest to pragnienie leżące u podstaw ludzkiego zdziwienia? Nie taplając się długo w tym medializmie dokonałem impulsywnych, lecz świadomych wyborów i dlatego nie mam prawa żałować niczego. Pokryte brunatnymi skrzepami ściany, pachnące jak lekarstwa na nieistniejące choroby sprzed wieków, zadziwiły mnie jazgotem swojej wewnętrznej ciszy. Nie potrzeba straży, gdy sam jesteś swoim sędzią i katem. Ten człowiek odpalający papierosa, chroniący wąty ogień zapalniczki pod niezbyt szerokim rondem kapelusza na tle grafitowej ściany, nie zamierza nigdzie uciekać, gdyż jest kompletnie świadom, iż nie ma takiego miejsca, które nie byłoby zawarte w nim samym, skoro stało się to, na co sam się zgodził. Ten człowiek to ja – Imored. Idę powoli, lecz zawzięcie, zupełnie jakbym samym uporem stwarzał zasadność pojawiania się kolejnych partii świata przede mną. Światła gasną i pojawiają się, tak jak stopnie pewności i wątplenia, po których jestem zmuszony się poruszać. Widzę ofiary tej ewolucji, na którą moje serce cały czas nie jest w stanie się zgodzić, choć widziałem ją nieraz w pełni i podskórnie czuję ją całe życie. Słyszę jej oddech, jak wzdycha sennie, niewinna i rozkoszująca się nieświadomym odpo-

czynkiem. Niektóre z tych ofiar są iskrami, które Kocham i którym nie chcę pozwolić oszaleć, oddalić się ode mnie lub obumrzeć. Wierzę jednak, że nie tylko tym jest wybrukowana moja szara ulica w osnutej półmrokiem zamglonej strefie. Nigdy nie nauczyłem się żyć podług norm wyrastających z kręgu najmłodszych przodków, lecz nigdy również nie przyjąłem naukowych wyznaczników i biologicznych przesłanek jako pewniki określające rozedrganie emocjonalne i węgielny kamień wstydu zmieszanego z poczuciem winy. Jestem bardziej świadom tego, co przeżywamy niż ten, który sam wkłada głowę pod topór. Cieszę się, że ulica się kończy i niknie w czerni. Wiem, że za kilkadziesiąt kroków od tego miejsca, w którym kończy się chodnik, zaczyna się las.



Mateusz Lubiewski

Intymne życie trupawzszypie

Jeżeli macie Facebooka, w którym to z kolei macie ustawiony język polski i wpisiecie w jego wyszukiwarce frazę „trupawzszypie” to ujrzycie komunikat: „Szukasz osób lub postów? Spróbuj wpisać imię i nazwisko, lokalizację lub inne słowa”. Przyczyną tego nie jest fakt, że takie słowo nie istnieje, bo istnieje. Więcej nawet, jest nazwą niegdysiejszego, wyśmienitego jednoosobowego projektu pochodzącego z Gdańska krakauera Dawida Adrjanczyka. Na szczęście inne jego projekty w tym olbrzymim kawałku cyberprzestrzeni istnieją i mają się dobrze, a szczerze mówiąc to pozostaje mieć nadzieję, że będą miały jeszcze lepiej.



fot. Sylwester Gałuszka

Poczynania artystyczne Adrjanczyka poza Trupem możemy usłyszeć na przykład w ambientowym kolektywie Tundra, który założył z Krzysztofem Joczynem na przełomie dwóch pierwszych dekad XXI wieku. Ponadto, taż Tundra dokonała w pewnym momencie rozrostu, a będąc ściślej, po prostu połączyła siły z innym zespołem o wdzięcznej geograficznej nazwie Karpaty Magiczne. Mariaż ten zaowocował wspólną płytą pt. *Reindeer Luck*. Poza Trupemwzszypie powstał jeszcze jeden solowy pro-

jekt pod nazwą Akpatok [jest to taka wyspa w Archipelagu Arktycznym], który to znowu powiększył swoje rozmiary i przekształcił się w Akpatok Ensemble, w którym to Dawid działa wraz ze swoją żoną Niną. To jest aktualnie najaktywniejszy wulkan w działalności artystycznej pochodzącego z trójmiasta muzyka, czego dowodem jest przygotowana do wydania na wiosnę (powinno stać się to dokładnie w maju) płyta *Micromovements*, z którą to jej autorzy niedawno odbyli krótką trasę po Polsce i Niemczech.

Poza działalnością stricte muzyczną, Adrjanczyk od 2016 roku zajmuje się tworzeniem niezwykle ciekawego i oryginalnego, interdyscyplinarnego projektu ekologicznego *Co-silence*, którego działalność wynika z kontemplacji tego, co łączy muzykę z naturą. W ramach tej działalności prowadzi warsztaty dźwiękowe z ekologii słuchania, których celem jest uwarunkowanie na interakcję człowieka ze środowiskiem naturalnym, kształcenie umiejętności słuchania uważnego oraz medytatywna kontemplacja dźwięków otoczenia. Wszystkie działania artystyczne i pozaartystyczne Adrjanczyka łączy wyjątkowa czujność i wrażliwość na nasze egzystowanie w świecie dźwięków, ale szczególnie w kontekście ich interakcji z terytorium ciszy. Formy twórcze są swoistą kontemplacją natury dźwięku i dźwięków natury.

Najmocniej w obrębie wewnętrznego sąsiedztwa dyskograficznego Adrjanczyka wyłamuje się wspomniany jako pierwszy Trupwzszypie. I mimo że projekt ten od dawna jest trupem w istocie, to grzechem było by nie interweniować i nie przekazać wieści o nim światu, bo dotychczas uczyniło to bardzo niewielu. Pierwsza i jedyna płyta spod tego szyldu zatytułowana *Intymne życie pantofelka* trwa 23 minuty i 56 sekund, wydana została w 2010 roku przez Pitu Pitu Recordz! i charakteryzuje ją jedno z największych rozdarć w historii muzyki pomiędzy jakością artystyczną, a spektrum odbioru. Sam natrafiłem na nią zupełnie przypadkowo kilka lat temu i od razu stała się moją ulubioną muzyczną mikroplanetą. W sieci można było znaleźć wówczas informacje, że „projekt ten jest próbą uchwycenia ulotnych, kruchych oraz onirycznych impresji zawieszonych gdzieś pomiędzy gdańską Zaspą a Przymorzem” oraz że „zrodzony został z szeroko pojętego zainteresowania przestrzenią, otoczeniem i dźwiękowym ekspe-

rymentem". I faktycznie bez większego problemu płytę Trupa możemy przypisać do genere ambientowo-eksperymentalnego, a i fakt geograficznej przynależności gdzieś między dźwiękami się demaskuje. Problem rodzi się wówczas, gdy uświadamiamy sobie, że to nie mówi o *Intymnym życiu pantofelka* absolutnie nic. Jak zauważa autor jednej z trzech recenzji, jakie udało mi się znaleźć w sieci, jest to jedno z najbardziej „prywatnych nagrań” w Polsce. I w tym miejscu mówię sakramentalne amen.

Jest to klucz do płyty Adrjanczyka. Specyfika tego ambientu polega na tym, że nie konstruuje się on gdzieś pomiędzy galaktykami, nie gdzieś na arktycznych pustkowiach, ale gdzieś w szafie na dnie. Kluczem do niego nie jest teleskop, a muzyczny mikroskop. Pomimo surowego minimalizmu mamy do czynienia z materiałem bardzo ciepłym i poetyckim. Poetyckim choć warstwa słowna ogranicza się do dwóch sampli-cytatów z magicznego filmu *Salto* Konwickiego i fragmentu bliżej niezidentyfikowanego dokumentu o orzésekach. Chodzi jednak o pewną zwartość i umiejętność gry napięciem. Adrjanczyk w czasach nadmiaru i przesytu, konstruuje czarodziejską kontę i, co moim zdaniem niezwykle istotne, konstruuje ją, każdy jej najmniejszy element, z całkowitą świadomością. Sam mówi w jednym

z wywiadów: „Im jest ciszej, tym intensywniej słuchamy. Im jest mniej, tym wzrasta nasza koncentracja, uważność, świadomość”. I mimo że *Intymne życie pantofelka* jest technologicznie i materiałowo różne od kompozycji Akpatoka i Tundry, to bezwzględnie spaja je kontemplacja zagadnień przestrzeni, czasu i dźwięku. Refleksja w twórczości Adrjanczyka ewidentnie ewoluuje, to wszystko, co Trupwzysypie przeczuwał, Akpatok już nazywa, nie mniej daleki byłbym od waloryzacji tych aktywności, gdyż przede wszystkim są inne. Inne emocjonalnie, inne fakturowo. Dominantami *Intymnego życia pantofelka* są białe szumy, skromne efemeryczne melodie, zwartość substancjalna i formalna, nie ma tu, aż takiego nacisku na transowość i zanurzenie jaką cechuje chronologicznie dalsza część dyskografii. Jest to tak naprawdę rejestracja i amplifikacja zrytmizowanych sygnałów otoczenia i połączona z własną, minimalistyczną wariacją melodyczną na ten temat. Album jest zwartą narracją, osadzoną na nawrocie kołowym – przesterowany dźwięk rozpoczynający historię jest bliźniaczy z tym, który ją zamyka.

Co wyraźnie różni tę płytę od innych wydawnictw jej autora, to fakt, że jasność i płynność przyćmiewa niepokój, choć jednocześnie trzeba przyznać, że całkiem niezłe okiełnany i chyba nawet całkiem przyjazny i dobrze nam znany niepokój. Tajemnicza, egzystencjalna historia pantofelka stała się zarysem dla ciekawej i wciąż rozwijającej się refleksji nad człowiekiem zanurzonym w naturalnym środowisku dźwiękowym. Jak mówi o „praktyce z instrumentem” Adrjanczyk, „stopniowe wkraczanie w muzykę ma charakter medytacji, głębokiej koncentracji, uważności, obserwacji dźwięku, tego jak się zmienia, rozwija i zanika pewna organiczna opowieść”¹. Tę uważność trzeba zapamiętać w myśleniu o tej twórczości.

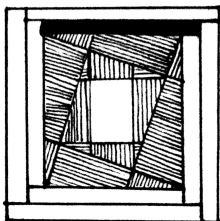
PS. W czerwcu Akpatok Ensemble rusza w trasę promocyjną *Micromovements*, więc zachęcam do uważności również i w tej kwestii.

Wybrana dyskografia Dawida Adrjanczyka:
Trupwzysypie *Intymne życie pantofelka*
Tundra *Anekumena*
Tundra/Karpaty *Magiczne Reindeer Luck*
Akpatok *Two Winters/Two Springs*
Akpatok Ensemble *Micromovements*

¹ <http://tuchem1okiem.blogspot.com/2016/04/muzyka-niespiesznych-gestow-akpatok-two.html>



fot. Sylwester Gałuszka



Krystyna Zaczekaj

Niemożliwe, a jednak wychodzi z siebie

para-felieton przedstawiający dzień z życia introwertyka

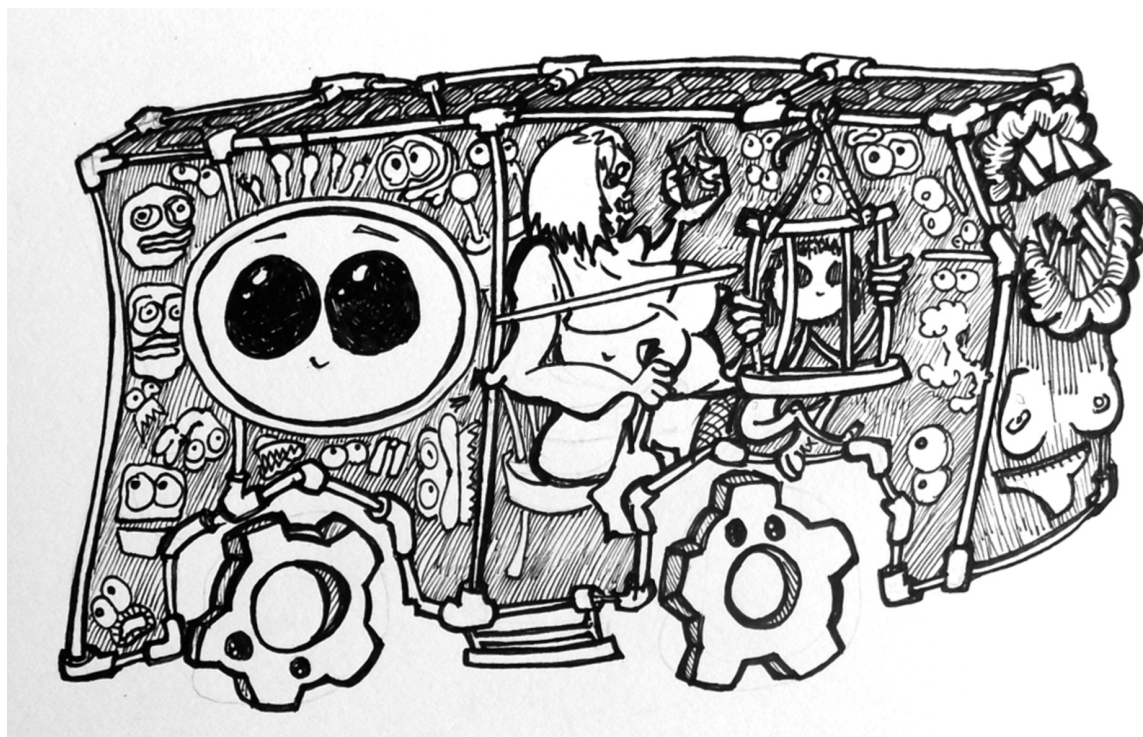
Jest piątek. Trwa marzec. Wracam do domu o tej samej porze co zwykle. Jak zwykle autobusem tej samej linii. Wszystko jest takie samo, z wyjątkiem temperatury, która nieustannie wzrasta o tej porze roku. Zapełnienie autobusu: bardzo wysokie. Nikt nie może oddychać, dlatego też nikt nie otwiera okna. Tak zwany masowy event. Dla innych musowy event. Ja jestem z tych drugich. Wsiadłam na jednym z pierwszych przystanków, więc mam to szczęście, że siedzę i widzę. Nie mam miejsca na jakikolwiek ruch, toteż tępo przyglądam się szybie. I zaraz zewsząd atakują mnie hasła typu: RUSZ TYŁEK NA WIOSNĘ! albo WIELKA WYPRZEDAŻ ROWERÓW! NAWET DO 50%!, w przypadkach ekstremalnych: ZBAWIMY CIĘ OD NAJGŁĘBSZEGO TŁUSZCZU! 10 KILO 14 DNI! Kobieta siedząca obok na ten widok szybko odwraca wzrok. Po chwili dyskretnie spogląda na swoje „co nieco”. No, przydałoby się. „Po świętach się za siebie biorę” czytam w jej myślach. Zostawiam panią w tym punkcie. Ja wysiadam.

Podróż jakimkolwiek medium komunikacji miejskiej zawsze wpędza mnie w mizantropię. Do domu jeszcze kawałek. Ciężko stawiam kroki. Zmęczyło

mnie to unikanie spojrzeń i silenie się na bycie miłym. Słucham Piernikowskiego i kiwam głową na słowa „jak mówiłem, iskra wystarczy, by wybuchło”. Szukam wtedy wzrokiem jakiegoś Mariana z Sabą, prowadzoną na smyczy i ostentacyjnie posyłam mu wzrok nienawiści. On też sobie zasłużył. Marianie i Sabo, nie idźcie tą drogą.

Mieszkanie wita zapachem kolektwy. Męski pot plus wczorajszy sos grzybowy, dogorywający w rondelku. Zdejmuję buty i czuję drobinki piasku pod stopami. Czuję literalnie każdą. Dopada mnie przesywający ból. Nie mogę spokojnie żyć. To moje krzyże, kłody rzucane pod nogi. Szybko uciekam do pokoju, zanim ktoś mnie tu zobaczy.

Nareszcie wolność. Mam swoją swobodę i mam swoją samotność. Otwieram okno. Wpuszczam radosny powiew świeżego powietrza. Rzucam się na dywan, zamykam oczy, witam błogość w moich progach. Chwilo, trwaj! I kiedy już wpływam powolutku na suchego przestwór oceanu, za oknem pojawia się dźwięk. Wprasza się do mojego pokoju i mości na



ulubionym miejscu. Jestem pod ścianą i słucham: JUŻ JUTRO! OTWARCIE NOWEJ BIEDRONKI W BYDGOSZCZY! Z TEJ OKAZJI... Podbiegam do okna, zamykam z trzaskiem. I nici z oceanu. W następnym życiu będę budką z kebabem na wynos.

Po czterdziestu czterech minutach orientuję się, że spędzam już czterdzieści cztery minuty na wpatrywaniu się w ścianę. Zmieniam obiekt obserwacji. Sufit. Zawsze fascynowało mnie coś, czego nie mogę osiągnąć. W dzieciństwie wierzyłam, że wszelkie dobro pochodzi ze strychu. Na moje życzenie zstępowały stamtąd prosto w moje ręce za każdym razem inne zabawki. Dopiero po latach okazało się, że to mama je przede mną tam skrywała. Skutecznie manipulowała moją pamięcią. Do dziś jednak wolę utrzymywać, że to była magia. Stare czasy. Teraz nadszedł schyłek. Najlepsze już za mną. Wyobrażam sobie, że leżę w szpitalu zakaźnym. Mam spocone czoło i suche usta. Fioletowe pręgi pod oczami. Wizja zbyt realistyczna, by nie kryła się za nią krztyna prawdy. Przychodzi lekarz i mówi: zostało pani osiemnaście dni życia. Mam jeszcze osiemnaście dni aby nacieszyć się swoim jestestwem. W tym momencie coś przebija bańkę z wizją umierającego alter ego. Czy mogę sobie jeszcze jakoś pomóc?

Zukam wskazówek na facebooku. Scrolluję. Znów nieświadomie połykam eony. Chcę gdzieś w końcu wyjść! Świecie, zaproponuj mi coś wyższego! I kiedy tak zatracam się powoli w śledzeniu profili tych, co to „mają lepiej” i żegnam się z możliwością spędzenia moich ostatnich osiemnastu dni życia na intelektualnym survivalu, popijając drinki z palemką w towarzystwie Cézanne’a i Ernsta, zatrzymuję maszynę scrollującą. Galeria Miejska. *Vanitas*. Witamy w raj.

Nie zastanawiając się długo, znów wychodzę z domu. Łapię autobus. W drodze czytam wiersze. Charles Bukowski, tom: *Miłość to przeklęty pies*. Kilkakrotnie wracam do jednego, o tytule *Pajak. Mój Boże, jeśli uchronisz mnie przed śmiercią przyrzekam, że nigdy więcej nie wezmę alkoholu do ust*. Dalej jest o tym, że wszyscy jesteśmy tacy sami przed Bogiem. Wszyscy jesteśmy przegrani. W autobusie wyraźnie rysują się puste miejsca.

Od budynku galerii dzieli mnie zaledwie kilka kroków. Czuję za sobą oddech moich przeciwników (tak zwanych ludzi), który skrapla się na moich plecach. Ostatnie metry dzielą mnie od wygranej. Nerwowo stawiam kroki. Zdarza mi się w takich sytuacjach wy-

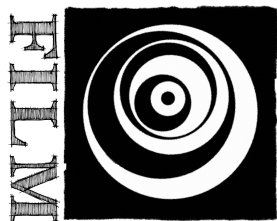
buchać głośnym śmiechem. Wyobrażam sobie, że patrzę na siebie z boku. Muszę wyglądać głupio. Usta schną. Pragnienie się wzmagą. Po prawej zarysowuje się sylwetka galerii.

Dylemat przed wejściem. A co jeśli pomylę kroki? Wyglądam jakbym właśnie opuściła przez pomyłkę moją trumnę. Godne zastępstwo dla konwencjonalnego łóżka. Tak chyba nie powinno się tutaj wyglądać. Po chwili trzeźwieję. Zostało mi osiemnaście dni życia. Łapię za klamkę.

Pierwszy oddech jest już inny. Czuję różnicę. Spokojniej. Nikt mnie już nie śledzi. Nie ma za mną cieni. Oddaję kurtkę. Portier kieruje na pierwsze piętro. Schodami w górę. Trzy, dwa, jeden.

Jasność. Pole widzenia obejmuje niemożliwie więcej niż w większości przypadków. Czy to już mój pierwszy dzień po zmartwychwstaniu? Tych osiemnaście dni gdzieś przepadło pod drodze. Rozsypały się, nikt nie dotarł do mnie po śladach. A może to wszystko nie dzieje się tu i teraz? Niczego nie ma na pewno. Wiem tylko, że jestem tu sam na sam. Wskali 1:1. Otaczają mnie dzieła jednej sztuki. Krok na początku starasie pasować do miejsca i do czasu. Oko ochroniarza na mnie patrzy. Starszy pan. Do końca nie jestem pewna, czy jeszcze istnieje. Prawdopodobnie na pewnym etapie zdecydował, stać się elementem ekspozycji. Tematycznie wszystko się zgadza. *Vanitas*. I znikaj. Z czasem wszyscy odwiedzający przywykają do tego widoku. Między dziełami poruszam się niczym wierzący w katedrze. Czuję się drobina w oku kosmosu. Jego immanentną drobiną. Przed każdym obrazem spędzam długie chwile. Obserwuję wędrówki pędzla i dobór barw. Co innego z instalacjami. Widzę dwa ekrany, na których wyświetlają się zapętłone animacje. Biorę słuchawki, wsłuchuję się, oglądam, łączę. Wzruszam. Nie wiem kiedy odłączam się od siebie i jestem gdzieś w nieznanym. Idę dalej. Kolejna instalacja. Tym razem stoję przed żeliwnym ogrodzeniem, za którym kiedyś się znajdę pewnie i ja. Nad ogrodzeniem wisi lustro. Przewijają się na nim twarze. Schodzą coraz niżej. Łądują w ziemi. Już nie twarze. Tutaj stoję długo. Całą projekcję oglądam trzykrotnie. W końcu i ja odchodzę.

Jakoś ciągle mi mało. Długo się zbieram do wyjścia. Decyduję się. Zostawiam tu moich osiemnaście dni życia. Ochroniarz wstaje z miejsca. Podąża za mną. Razem schodzimy w dół.



Miłosz Stupecki

Sens życia według Ricka i Morty'ego

KRESKÓWKOWA FILOZOFIA

Rick and Morty opowiada o przygodach szalonego naukowca i jego naiwnego wnuka, którzy z dużą dozą braku odpowiedzialności przemierzają kosmos. Można powiedzieć, że mniej więcej jest to fabuła *Powrotu do przyszłości*, lecz Doc jest tutaj pierdzącym alkoholikiem, a Morty nigdy nie podrywa swojej mamy. W przeciwieństwie do *Powrotu* ta dwójka podróżuje po alternatywnych wymiarach, a nie w czasie.

Rick and Morty jest głęboko zakorzenione w tradycji horroru science fiction, często nawiązujące do klasyków takich jak Pogromcy Duchów, David Cronenberg, Nosferatu czy Freddy Kreuger. Podczas gdy kreskówka oddaje hołd szerokiemu spektrum horroru i fikcji naukowej, to jej największym pokrewieństwem jest tradycja kosmicznego horroru. Styl zapoczątkowany przez legendę horroru H. P. Lovecrafta kładzie nacisk na terror, który jest poza naszymi granicami poznania. Tak jak Lovecraft, Rick and Morty używają kosmosu, aby eksplorować głębokie filozoficzne pytania przez wyobrażenie sobie, co kryje się za tą czarną pustką kosmosu. Kreskówka nawet odnosi się wizualnie do *Cthulhu* Lovecrafta w sekwencji otwierającej każdy odcinek. Kosmicz-

ny horror wychodzi poza ramy tanich chwytów ze współczesnych horrorów i konfrontuje nas z wielkim nieznanym i niewyobrażalnym. To jednocześnie uczucie strachu, obrzydzenia i grozy, gdy to, co czai się w dalekiej przestrzeni nagle uderza w nasz świat i naszą rzeczywistość.

Urządzenie Ricka, którym wystrzeliwuje portale do innych wymiarów cały czas konfrontuje nas z nieznanym, gdy Rick z pewną szaleńczą pewnością skacze w inne rzeczywistości. Rezultaty są czasem przerażające, czasem komiczne a czasem jedne i drugie. Zdarza się też, że te rzeczywistości przychodzą do nas, szczególnie w odcinku *Get Schwifty*. Do Ziemi zbliża się wielka kosmiczna głowa, której sama siła grawitacyjna powoduje chaos dla ziemskiego życia. Następnie wielka głowa rozkazuje ziemianom: „pokaż na co ich stać”. W rezultacie powstaje kult czczący wielką głowę, a Rick zdaje sobie sprawę, że głowa to Kromulon i informuje prezydenta Stanów Zjednoczonych, że Ziemia właśnie uczestniczy w międzygalaktycznym Mam Talent i musi zaprezentować muzyczny hit... lub zostać zniszczona gigantycznym laserem.



screenshot: adultswim.com

Latające giganty nie są niczym nowym w świecie science fiction, nasz przyjaciel Lovecraft używał tej idei w niemal każdym swoim dziele, tworząc Rasę przedwiecznych. Jest kilka, a nawet więcej interesujących pytań, które przywołują te wielkie, straszne rzeczy. Najpierw kosmiczny horror błaga o pytanie: czy jesteśmy ważni i znaczący we wszechświecie? Większość twórców fikcji naukowej jest przekonana, że to człowiek jest metaforycznie centrum wszechświata. Kosmiczny horror odwraca to przekonanie do góry nogami i zadaje pytanie: co, jeśli jesteśmy obojętni dla wszechświata? Dla Kromulonów Ziemia jest ledwo obiektem rozrywki. Anihilacja planety nie jest niczym złym, nie powoduje przejęcia czy troski, to po prostu coś, co się robi. Dzieła kosmicznego horroru przepełnione są wielkimi istotami, które demonstrują nam jak mało znacząca jest ludzkość. I to jest naprawdę straszne, a w przypadku Ricka i Morty'ego całkiem zabawne... w bardzo, bardzo mroczny sposób. W książce *In the Dust of this Planet* współczesny filozof Eugene Thacker opisuje ten „kosmiczny pesymizm” jako dominującą cechę w gatunku horroru, który wyobraża sobie świat bez nas, pokazuje wszechświat, jako absolutnie nieludzki i obojętny dla naszych nadziei, pragnień i walki o ludzkie indywidualności i grupy. Ta kreskówka niemal idealnie oddaje ten pesymizm, Rick i Morty nawet umierają tylko po to, aby zostać zastąpionymi innymi wersjami siebie z alternatywnego wymiaru. Nie jesteśmy tylko częstką kurzu na niebieskim ziarnku piasku w ogromie kosmosu, jesteśmy jedną z nieskończonych możliwości tej samej cząstki kurzu na tym niebieskim ziarnku piasku.

Rick and Morty nie chce nas przerażać naszą własną bezcelowością, chce się z tego śmiać. Nawet jeśli jesteśmy tylko kurzem dla kosmicznych horrorów, jesteśmy też kosmicznymi horrorami dla mniejszych ziarenek kurzu. W odcinku *The Ricks Must Be Crazy* dowiadujemy się, że akumulator pojazdu Ricka jest zasilany przez mikrowymiar, którego jedynym zadaniem jest dostarczanie prądu. W tym mikrowymiarze Rick odnajduje naukowca, który stworzył swój miniwymiar, który zasila obecny mikrowymiar i tak dalej... Rick mógłby być dla mieszkańców tych mikrowymiarów właśnie takim horrorem Lovecrafta. W wieloświecie poza naszym poznaniem z nieskończonymi możliwościami, wartości i znaczenie zaczyna się rozmywać i jedyne co pozostaje to pesymizm.



screenshot: adultswim.com

Rick and Morty zadaje pytanie o naszą egzystencję niemal w każdym odcinku. Z jednej strony mamy kosmiczną błahość ludzkości, a z drugiej frywolność indywidualności ludzkiego życia. Kreskówka daje nam dwa przykłady, jak poradzić sobie z żalosnością naszej egzystencji. Są nimi Rick i Jerry. Na początek mamy Jerry'ego, który jest kompletnie nieświadomy swojej przeciętności i bezcelowości swojego życia. Jest dosłownie bardziej szczęśliwy w biednej symulacji naszego świata niż w prawdziwym życiu. Arthur Schopenhauer mógłby opisać życie Jerry'ego jako: „życie każdej indywidualności, patrząc na nią jako całość, wtedy, gdy podkreślone są najbardziej znaczące cechy staje się tragedią; lecz gdy przyjrzymy się szczegółom, zaczyna nabierać charakter komediowy”. Jerry jest nieudacznikiem, jest bezrobotny, jego żona go nienawidzi, a na dodatek nie jest najszybszym ogniwem w rodzinie. Można by się spierać, że Jerry i tak jest lepszy niż ciągle pijany Rick, bo po prostu jest zbyt głupi, by dojrzeć bezcelowość swojego życia i w swojej ignorancji zdaje się zadowalać odrzucaniem trudów. Z drugiej strony jest Rick, który rozumie bezsens życia i akceptuje to. Lecz na przekór swojemu sarkazmowi i nonszalanckiej wobec bólu i cierpienia, Rick jest alkoholikiem, a jego powiedzonko „Wubba Lubba Dub Dub” oznacza „bardzo mocno cierpię, proszę pomóc”.

Sens życia według Ricka i Morty'ego



Dalsze racjonalizowanie wizji wszechświata potęguje uczucie braku znaczenia w naszym życiu. Jesteśmy uwięzieni w paradoksie. Niby nauka pomaga nam odczytać jakiś sens z wszechświata przez wzory i teorie, ale i tak jesteśmy pozostawieni ze smutkiem i przypadkowością naszej własnej egzystencji. Nauka pozwala nam argumentować poza pewną nienaruszalność i emocje i zamienia ludzkie doświadczenie w coś bezcelowego. W jednym z odcinków Rick przekłada swoją śmierć, by matematycznie wytłumaczyć swoim wnukom, że nic dla niego nie znaczą, w innym odcinku Morty umiera w bardzo realistycznej grze i po przegranej na chwilę zapomina o swoim życiu. Publiczność jest pozostawiona z pytaniem, co właściwie oddziela sztuczną rzeczywistość gry od jego własnej egzystencji? Skoro Morty pamięta swoje życie z gry, swoje emocje i doznania które tworzą jego świadomość to jaka jest różnica?

Rick and Morty ciągle bawią się tą dychotomią pomiędzy nieznaczącymi symulacjami i naszym prawdziwym życiem. Jaka jest różnica pomiędzy zabijaniem pasożytów pamięci, do których rodzina czuje prawdziwe emocje, a postrzeleniem pana Poopybutthole? Ten kryzys wartości sensu życia był przerobiony przez tony egzystencjalistów, ale tutaj najlepiej pomoże nam Fryderyk Nietzsche.



screenshot: adultswim.com

Nietzsche opowiada nam przypowieść o szaleńcu który przybywa do miasta krzycząc: „Bóg nie żyje i my go zabiśmy!”. To, co chciał nam powiedzieć, oznacza kryzys po oświeceniu i rewolucji naukowej oraz to, że wielkie bóstwo z nieba, które nadawało nam wartości nie jest już istotne. Po śmierci boga w filozofii, jedyne, co nam pozostaje to nihilizm, pustka znaczenia. Ta walka z brakiem sensu definiuje Ricka. Dla niego miłość to tylko kilka reakcji chemicznych, w jednym odcinku wygrywa z diabłem, a w kolejnym odgrywa śmierć Boga.

Tutaj dochodzimy do pytania: czy Rickowi na czymkolwiek zależy? Rick jest ucieleśnieniem napięcia pomiędzy aktywnym i pasywnym nihilizmem. Według Nietzschego pasywny nihilizm jest rezygnacją z nadziei i znaczenia w życiu, a aktywny nihilizm cały czas szuka drogi do zniszczenia starych wartości i stworzenie nowych. Coś na pewno sprawa, że Rick działa, tylko nie wiemy co. Wszak Rick jest opisywany jako terrorysta walczący o coś ważnego, a jednak poddaje się i oddaje w ręce galaktycznej policji, by ochronić swoją rodzinę. Jeśli jego działania mogą się wydawać paradoksalne, to tylko dlatego, że on sam nie potrafi znaleźć sensu we wszechświecie. Ta kreskówka również przesłuchuje nasze znaczenie moralności, odmawiając postawienia klarownych granic pomiędzy dobrem i złem. Wszystkie próby Morty'ego, aby czynić dobro, obracają się przeciwko naszym bohaterom. Rick i Morty każą nam przemyśleć fakt, iż nasze irracjonalne przywiązanie do wolności pozwala nam żyć w takim popieprzonym świecie.

Innym sposobem spojrzenia na egzystencjalne pytania zadawane w serialu może być dzieło myśli Alberta Camusa, najlepiej pokazane w odcinku *Meeseeks and Destroy*. Głównym motywem absurdu Camusa jest to, że życie składa się z dwóch nieprzejdanych aspektów: ludzkiej tendencji do znalezienia sensu w życiu i kompletnej obojętności wszechświata względem naszej egzystencji. Przeciwnieństwem tego są właśnie Meeseeks i ich egzystencja opisana przez nie same: Meeseeks nie przychodzą na ten świat, by szukać sensu: „jesteśmy stworzeni by spełnić pojedyncze zadanie i zrobimy wszystko by je spełnić”. Dla Camusa, ludzkie życie jest tego przeciwieństwem w micie o Syzyfie, królu, który musiał spędzić wieczność wtaczając kamień na górę, tylko po to, by kamień stoczył się na dół przed samym szczytem. Na przykład dla Jerry'ego nie jest to kamień, tylko poprawne uderzenie kijem golfo-

wym. Mamy jeszcze karę dla Ricka, która miała zamieniać jego świadomość z podświadomością, zamieniając jego fantazje w bezcelowość, a wszystko co zna staje się niemożliwe do zrozumienia. Wielu bohaterów tej kreskówki nie stara się szukać znaczenia swojej egzystencji, zamiast tego żywi urazę dla swoich stwórców za przyniesienie ich na ten świat. Ten kompleks Frankenstein'a widzimy nie tylko w Meeseeks, ale też w Abradolfie Lincolerze (człowiek stworzony przez Ricka z DNA Adolfa Hitlera i Abrahama Lincolna), Mortym Juniorze i nawet w samym potworze Frankenstein'a, który pojawia się w jednym z odcinków. Dla Camusa jesteśmy ciągle sfrustrowani naszymi kulejącymi próbami znalezienia sensu i przeznaczenia w życiu oraz naszą niemożność do tego. Jako alternatywę Camus proponuje pogodzenie się z pustką absurdu.

Fikcyjna i czasem prawie prawdziwa nauka w kreskówce pozwala nam eksplorować wszystkie możliwości, że pomimo całej naszej miłości do Ricka, nasze życie jest tak samo smutne i żałosne jak życie Jerry'ego. Ale nauka działa również jako platforma dla naprawdę kujonowatych żartów. Cały jeden odcinek opiera się na zasadzie nieoznaczoności Heisenberga. Ta zasada mechaniki kwantowej mówi, że nie można z dowolną dokładnością wyznaczyć jednocześnie pędu i położenia cząstki, a to dlatego, że te małe rzeczy, które budują nasz wszechświat, są w tym samym czasie cząstką i falą. Jeśli wydaje się to skomplikowane, to tylko dlatego, że właśnie takie jest. *Rick and Morty* czerpie humor z powierzchownego rozumienia nauki, domagając się, by niepewność mechaniki kwantowej rozdzieliła nasz świat. Po rozdzieleniu, na zewnątrz lewitują koty Schrödingera, co jest nawiązaniem do eksperymentu myślowego z 1935 roku stworzonego przez austriackiego fizyka Erwina Schrödingera, który zastanawiał się, czy w świecie mechaniki kwantowej, gdzie cząstki mogą być dwoma rzeczami naraz, możliwe jest, by kot zamknięty w pudle z kwantową pułapką był jednocześnie żywy i martwy?

Ta luźna relacja do naukowych prawd, może być odczytana jako szturchanie niezadany gatunkowi science fiction, który czasem sam usprawiedliwia wewnętrzzną pseudonaukowość dla rozwoju fabuły. W ostatnim odcinku drugiego sezonu, Rick przemierza małą planetę z małymi strefami klimatu, co byłoby niemożliwe w prawdziwym świecie. W tym samym odcinku, autorzy śmieją się z publiczności i jej zaufania jakie pokłada w fabułach telewizyj-



screenshot: adultswim.com

nym, robiąc przy okazji żart z wymuszonej perspektywy i naszego oceniania świata przez pryzmat telewizji. *Rick and Morty* eksponuje również unikalny rodzaj ateizmu, który ciągle obala religijne postacie, wygotowując je do czystej nauki, jak i potwierdza częste nadużywanie nauki przez władze religijne. W odcinku *Something Ricked This Way Comes* osobista interpretacja nauki Jerry'ego, prowadzi go na krucjatę, mającą na celu przywrócenie Plutonowi statusu planety. Jerry zostaje przywitany przez Plutonian, którzy mają niezbyt subtelne krzyże w oczach, co jest nawiązaniem do katolickiego fundamentalizmu. Oczywiście cały plan jest wielką manipulacją społeczną, przekonującą Plutonian, że nadużycia korporacji i wydobywania plutonu nie są wielką sprawą, nawet jeśli konsekwencją będzie zniszczenie planety.

Zbierając to wszystko, *Rick and Morty* jest kreskówką, która nie ma żadnych świętości. Eksplorując absurdalność całkowicie racjonalnego świata, niszczy granice przyzwoitości w świecie horroru science fiction. Mamy przez to szansę na zadanie zabawnych i depresyjnych pytań: „Dlaczego tu jestem?” lub „Jaki jest cel tego wszystkiego?” Trudno powiedzieć, co będzie się dalej działo z Rickiem. Czy zrobi w końcu coś dla „większego dobra”, czy jego ostatni wybryk przedstawiony w ostatnim odcinku to tylko kolejna samolubna taktyka? Pozostaje nam czekać na trzeci sezon przygód Ricka i Morty'ego który już niedługo powinien mieć swoją premierę na Adult Swim. DUB!



POEZJA

Emilia Kuczmaja

PEJZAŻ

Patrz.
Od lewej do prawej atomowe grzyby
porośłe w deszczu śliny krasomówczych dyktatorów
otulają swym cieniem plagi ludzi spieszących do domów
piwnic, bunkrów, schronów
niczym robactwo,
a może zwierzęta lasu w ucieczce przed wielkim ogniem.
W głębi obrazu niebiański błękit sztormowej fali
Archaicznie współczesne tsunami
które jak paszcza lewiatana zassie za moment pokarm
w postaci ludzkiej papki
Krwistej, betonowej tkanki...
Boże,
jak dobrze, że Ciebie mam
i że stoisz tak blisko, w uścisku
I chowasz mnie w sobie
zalakowanym spletem silnych dłoni
schyleniem głowy jak pokrywą dzbana
zamykasz w sobie.
Jak dobrze, nic nam nie grozi
Tu, gdzie jesteśmy
ze sobą.
Dwa kataklizmy
przed obrazem
w holu bardzo nudnego muzeum.

Wojciech Weyna

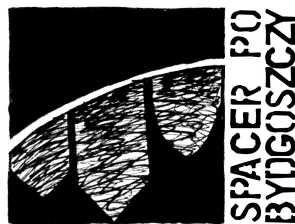
Sklepy cynamonowe, 2015

Bez zrozumienia dla wielkiej tragedii słonecznika
były moja siostra i matka gdy
deptały wściekle i brutalnie jego utrudzoną głowę
która uprzednio przechyliła resztę przejrzałego ciała ku upadkowi

Ja
zmęczony latem
twierdziłem
iż należy pozwolić mu dożyć ostatnich dni w spokoju

Eliza Astrowidząca

Antykwariat Szperalnia



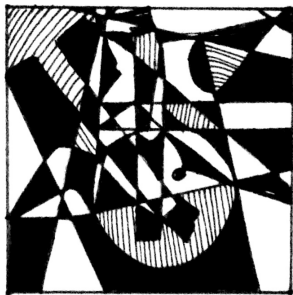
Czy w Bydgoszczy można poczuć ducha Bohumila Hrabala? Aby odpowiedzieć na to pytanie należy poznać historię pewnej nieprzeciętnej kobiety, której niezwykła miłość do szelestu kartek stała się przyczynkiem do stworzenia magicznego miejsca. Wyobraźmy sobie młodą dziewczynę, od dziecka zakochaną w słowie pisanym, w szkole zawodowej wyuczoną trudnego rzemiosła: zecerstwa. Po ukończeniu nauki trafiła do słynnych bydgoskich Zakładów Graficznych, postęp technologiczny sprawił, że stało się to w chwili, kiedy ów fach przestaje być potrzebny. Nie było jej dane składać czcionek, zamiast tego dostaje etat operatorki dźwigów towarowo-osobowych, innymi słowy etat windziary. Praca ograniczała się do niezbyt częstego wciskania guzika uruchamiającego windę przewożącą między piętrami tony książek i papieru. Siedząc na swojej warcie, wypełniała czas zaczytując się w lekturach przesiąkniętych zapachem świeżej farby drukarskiej. Korzystała z największego dobrodziejstwa, jakie niosło za sobą to zajęcie – wolnego czasu, spokoju i nieograniczonego dostępu do setek książek. Tak zaczyna się nieskończone love story Violetty Lizak, założycielki Antykwariatu Szperalnia.

Kiedy pierwszy raz przekroczyłam próg Szperalni, wiedziałam, że trafiłam do jednego z najniezwykłych miejsc w Bydgoszczy. Na półkach dawno zabrakło miejsca, książki zdominowały prawie każdy centymetr podłogi, ułożone w słupki po kątach,

w workach i kartonach, przejęły kontrolę nad przestrzenią. Violetta Lizak z pełną świadomością wybrała nazwę dla antykwariatu. Atmosfera pełnego nieładu i rozgardiaszu sprzyja szperaniu, wyszukiwaniu, przebieraniu między najróżniejszymi tytułami z najróżniejszych dziedzin. Nie przychodzisz tu po konkretną książkę, przychodzisz na spotkanie z książkami. Najbardziej znane dzieła literatury światowej (często wydawnicze perełki), bajki, poradniki, kroniki, komiksy, czasopisma, mapy, stare zdjęcia czy pocztówki to krople w morzu różnorodności, jakie na nas czekają. O czym jeszcze warto wspomnieć? Zazwyczaj cena książki nie przekracza dziesięciu złotych. Tym bardziej można ulec pokusie sprawienia sobie lub komuś w prezencie publikacji nieoczywistych, wyszperanych. Założycielka kieruje się prostą zasadą: daj szansę książce, zajrzyj do środka, zaczytaj i bądź zupełnie gdzieś indziej, odkrywaj i rozszerzaj swoje horyzonty.

Czy w Bydgoszczy można poczuć ducha Bohumila Hrabala? Myślę, że przy ul. Chodkiewicza 17, w nieco schowanym piątym pawilonie – wdychając zapach starego papieru, wdając się w pogawędkę z właścicielką, przeglądając pożółkłe pocztówki – na pewno. Nie ma znaczenia, czy w twoich dłoniach kiedykolwiek znalazła się *Zbyt głośna samotność*. Osobliwy klimat Antykwariatu Szperalnia przyciąga, wchodzi w ciemniało i potknij się o książkę.





KULTURALNIE

JUICY J B-DAYTRAPPARTY 08 kwietnia 2017, Destylarnia

5 kwietnia bieżącego roku legendarny amerykański raper Juicy J będzie obchodził swoje czterdzieste drugie urodziny. Z tej okazji bydgoski skład hip-hopowy Goonfellas postanowił zorganizować koncert oraz imprezę, która na kilka godzin zamieni bydgoski klub Destylarnia na jedyne w Polsce epicentrum tzw. „brudnego południa” czyli rapu z południowych stanów USA. Podczas wieczoru wystąpi ww. skład Goonfellas, natomiast po ich koncercie zagra trzech bydgoskich dj-ów: Kilo, Lesu oraz Scott Sqrch, którzy zabiorą słuchaczy w podróż przez trap, crunk i inne dźwięki wywodzące się z południa.



SYNTEZA SZTUK 2017 21 kwietnia 2017 – 21 maja 2017, Galeria miejska BWA



Synteza Sztuk 2017 to piąta edycja festiwalu organizowanego przez zakład wzornictwa Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego w Bydgoszczy. Głównym celem wystawy jest wskazanie na nieskończone przenikanie się dziedzin sztuki, które na pierwszy rzut oka nie są sobą powiązane. Zaprezentowane na wystawie prace to m. in. projekty dyplomowe studentów lecz również dzieła pedagogów oraz uznanych artystów, którzy przyjęły zaproszenie. Otwarcie nastąpi 21 kwietnia 2017 o godzinie 18.00 w BWA, zaś o godzinie 20.00 w Akademii Muzycznej (Gdańska 20) odbędzie się koncert orkiestry kameralnej Accademia Dell'arco.

W BYDGOSZCZY



KONEXSJE

kwiecień-maj 2017, Klub MÓZG

Konexje to cykl imprez z muzyką elektroniczną organizowany od grudnia zeszłego roku. Do tej pory odbyły się trzy edycje, z których każda charakteryzowała się innym klimatem gatunkowym. Przy pierwszej odsłonie wykonawcy poruszali się głównie w obrębie takich nurtów jak edm czy 2step, natomiast ostatnie wydarzenie było mocno skoncentrowane na muzyce techno. Połączenia gatunkowe są, oprócz przedniej zabawy, głównym celem organizatorów. Niestety, nie znamy dokładnej daty kolejnej edycji, jednak z pewnością odbędzie się ona w najbliższych miesiącach.

KONCERT ZESPOŁU UNITED AND STRONG

02 maja 2017, Estrada

Ekipa Rough Life Promotion odpowiedzialna za większość koncertów z nurtów takich jak hardcore, beatdown czy metalcore w Bydgoszczy i okolicach nie zwalnia tempa. Na początek maja udało im się zaprosić do naszego miasta niemiecki zespół United and Strong wykonujący muzykę hardcore. Zespół istnieje od szesnastu lat, w trakcie których wydał trzy oficjalne albumy oraz zagrał koncerty w ponad 21 krajach na całym świecie. Sami o sobie piszą, że wykonują starszkolny hardcore bez oglądania się na aktualne trendy panujące w obrębie gatunku. Jako support wystąpi kilka lokalnych składów, które zostaną ogłoszone w połowie kwietnia. Wszelkie informacje odnośnie szczegółów koncertu znajdziecie na Facebooku na stronie Rough Life promotion.

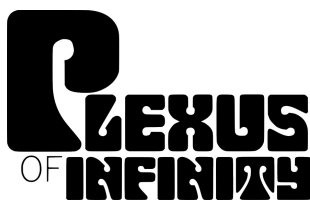


ARCYDZIEŁA MUZYKI FRANCUSKIEJ

26 maja 2017, Filharmonia Pomorska



Na Dzień Matki Filharmonia Pomorska przygotowała prawdziwą ucztę dla fanów francuskiej muzyki klasycznej. Tego wieczoru zostaną zaprezentowane trzy dzieła trzech wybitnych kompozytorów, a mianowicie *Suita Pelléas et Mélisande op. 80* Gabriela Faure, *Don Kichot na baryton i orkiestrę* Maurice'a Ravela oraz legendarna *Symfonia fantastyczna op. 14* Hectora Beroliza. Orkiestrą dyrygować będzie Mykola Diadiura, zaś barytonem będzie Adam Kutny. Dla wszystkich wielbicieli francuskiego impresjonizmu muzycznego jest to obowiązkowa pozycja w kalendarzu.



NIEZALEŻNA INTERNETOWA WYTWÓRNA PŁYTOWA
WWW.PLEXUS-OF-INFINITY.PL

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Cherries under the Water *Cherries under the Water*

Premiera: 7 kwietnia 2017

Cherries under the Water to bydgoski duet w skład którego wchodzi małżeństwo Monika i Paweł Szala. *Cherries under the Water* będzie ich debiutanckim albumem, aczkolwiek ich twórczość mogliście usłyszeć już na naszej składance *Out of Control Vol. 2*. Muzyka, którą wykonują, to mieszanka akustycznych brzmień oraz kantylenowej melodyjności w postaci dream popu. Instrumentarium w postaci gitar, skrzypiec, klawiszy oraz dwóch uzupełniających się głosów tworzy intymny klimat kompozycji.

FFF *Drone music*

Premiera: 20 kwietnia 2017

Enigmatyczna nazwa idealnie odzwierciedla założenia projektu FFF. Jest to kolektyw kilku polskich muzyków powiązanych ze sobą różny sposób. Album *Drone music* będzie pierwszą odsłoną tego, co mają do zaprezentowania. Stworzony przez jednego z członków kolektywu, w pierwotnej wersji miał być hołdem dla płyty *Music Has the Rights to the Children* legendarnej formacji Boards of Canada, jednak w trakcie prac nad albumem pojawiła się nowa koncepcja. Utwory, które znajdą się na *Drone music*, swoim eterycznym i tajemniczym klimatem nawiązują do dokonań grupy, lecz jednocześnie są całkowicie niezależne i stanowią współczesną odpowiedź na muzykę elektroniczną z lat 90. XX w.



cherries under the water

